

Nr 4 (75)
2018



ISSN 1732-1069



CZASOPISMO LITERACKIE PEGAZ LUBUSKI

WOJEWÓDZKA I MIEJSKA BIBLIOTEKA PUBLICZNA IM. ZBIGNIEWA HERBERTA
ZWIĄZEK LITERATÓW POLSKICH – ODDZIAŁ W GORZOWIE WIELKOPOLSKIM

W TYM NUMERZE: OD REDAKTORA NACZELNEGO: CZASOPISMA NA ŚMIETNIKU * ESEJ JERZEGO ALSKIEGO
POD CHOINKĘ * HUMORESKI I WIERSZE POD CHOINKĘ JERZEGO HAJDUGI, JACKA LAUDY, FREDA GŁODZIKA,
JOLI KARASIŃSKIEJ, ROMANA HADBASA, MARKA STACHOWIAKA * POETYCKIE SPOTKANIA W POŁOWIE DROGI
AUTORÓW LUBUSKICH * DEBIUT AUTORA OPOWIADAŃ FILIPA PRASKIEGO * ZAPISNIK NIECODZIENNY CZESŁAWA
SOBKOWIAKA * GORZOWSKIE ECHA 100-LECIA NIEPODLEGŁOŚCI * RECENZJE I OMÓWIENIA NOWYCH KSIĄŻEK
AUTORÓW LUBUSKICH PIÓRA KRYSZTYNY KAMIŃSKIEJ, CZESŁAWA SOBKOWIAKA I LESZKA ŻULIŃSKIEGO * WIA-
DOMOŚCI KULTURALNE I LITERACKIE Z CAŁEJ JESIENI POD REDAKCJĄ EWY RUTKOWSKIEJ * STRONA SATYRY:
PIEROGARNIA FERDYNANDA GŁODZIKA, ŻARTY RYSUNKOWE JACKA LAUDY I SŁAWOMIRA OSIŃSKIEGO (SŁOSIA)

Tomasz Walczak

* * *

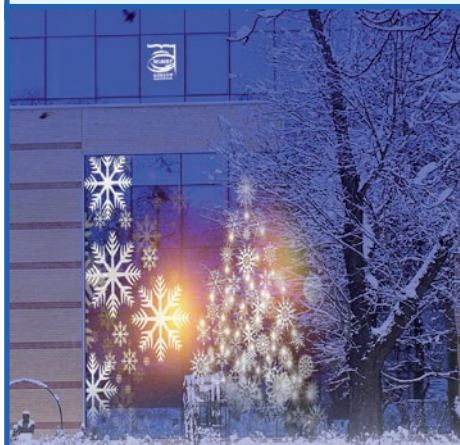
**puchate palce gałęzi
nałapały bieli z nieba
uginając się pod zmarzliną
w ciepłe kołdry płatków
przechowują nadzieję wiosny**

**tymczasem śniegiem wysłonięte
poła wołają wiatrem**

o więcej mrozu

**by rzeki mogły odpocząć
w cichości**

**uroda wczesnej zimy
przygniotła drzewa do ziemi
i figlarnie skrzy oczami dzieci**



NASZYM AUTOROM I WIERNYM CZYTELNIKOM

**Radosnych świąt Bożego Narodzenia
i realizacji w Nowym Roku
najśmielszych pomysłów twórczych
oraz spełnienia wszystkich marzeń
tak ze sfery życia prywatnego,
jak i publicznego –
życzą wydawcy „Pegaza Lubuskiego”**

Jerzy Alski

POD CHOINKĘ

Nie można nabyć czasu – nie można czasu dostać, pożyczyć, zarobić, zrobić lub ukraść – ułożyłem tę wylicznkę dawno temu, prowadząc rozważania na zupełnie inny temat aniżeli czas – i temat ten zjawi się w tym eseiku również, ale za chwilę. Wszystko w swoim czasie.

Innymi słowy: nie można przeżyć więcej, aniżeli jest każdemu z nas przypisane do przeżycia, nikt z nas nie będzie odchodził z tego świata ze świadomością, że przeżył więcej, że udało mu się osiągnąć czas dodatkowy, czas ekstra, że udało mu się czas dostać, ukraść, zrobić, zarobić bądź pożyczyć. Czy aby na pewno?

Wspomnianą już dwukrotnie wylicznkę o pożyczaniu, zarabianiu i kradzieży ułożyłem jeszcze za studenckich czasów, kiedy to hulaszczy tryb życia osuszała mą sakiewkę co chwilę, a wydatki na taksówki, lody, szampany, kawiarnie i kluby nijak nie bilansowały się z przychodami, nawet jeśli w „Bratniaku” łapałem dobrze płatne fuchy. Ile jest sposobów na wejście w posiadanie pieniędzy – zastanawiałem się któregoś dnia, siedząc nad cienką, skredytowaną herbatą w uczelnianym barze. Jako osoba cechująca się od pieluch niejaką kreatywnością, a też i beztroską (graniczącą, według przyjaciół, niekiedy ze zidioceniem), wysuplałem z torby długopis i na barowej serwetce (była darmo) począłem wypisywać znane mi czasowniki prowadzące do majątności. Po niedługim czasie było ich wiele i wielka była ich różnorodność: od „wykopać skarb” poczynając, poprzez „opatentować lekarstwo na katar”, a na „odziedziczyć spadek” kończąc. Mając już wypisanych kilka kolumn, zauważyłem, że pewne sposoby powtarzają się, stanowiąc jedynie warianty tego samego rozwiązania. W końcu niewielka jest różnica pomiędzy „odziedziczyć spadek” a „wygrać na loterii” – w jednym i drugim przypadku dostaje się



OD RED. NACZ.

CZASOPISMA NA ŚMIETNIKU

Droży Moi!

Temat, który miałem w tym wstępniaku rozpisnąć, z ust mi wyjął Leszek Żuliński, spolegliwy krytyk, poeta i niepospolity myśliciel. Pomyślałem, mam do zrobienia jubileuszowy 75. numer, zakwalifikowanych do druku materiałów na 32 strony, promocja już w najbliższą środę, Leszku, wybacz, w tym miejscu posłużę się Tobą. Tym bardziej że mojego tytułu nie wysłałeś jeszcze na śmietnik. Oto co na swym blogu ogłosiłeś:

Minione mniej więcej 20 lat to było trzęsienie ziemi dla prasy literackiej. Obumarało wiele czasopism i to takich, które cieszyły się estymą, miały markę. Najbardziej dzielnie trzyma się „Twórczość”, która ukazuje się nieprzerwanie od sierpnia 1945 roku (sic!). Potem powstawały nowe periodyki literackie, miały długoletni okres swojego boomu, były cenione – i nagle, stosunkowo od niedawna – zaczęły znikać.

Eugeniusz Kurzawa z Zielonej Góry w mejlu do mnie (do Leszka, znaczy się) wszczął lament na ten sam temat: Ongis, czyli po 1990 r. – a i częściowo dziś – ukazywały się setki tytułów, nazywam je studyjnymi, typu „Nagłos”, „Tytuł”, „Litteraria”, „Wezwanie”, „Nawias”, „Zawias”, „Topos”, „Puls”, „Słowo”, „Meritum”, „Kafka”, „Akcent”, „Akapit”, „Autograf etc”. Dziś, ponieważ umierają kolejni moi bliscy i dalsi znajomi, postanowiłem „posprzątać sklepik” i oddać swoje „bezcenne zbiory” jakieś księżnicy. Uszczęśliwię, pomyślałem, grono czytających, badaczy, studentów etc. I tu zaczęły się schody. Po sprawdzeniu tytułów, które posiadam, „szacowna” biblioteka uniwersytecka w moim mieście orzekła, że... nic jej nie interesuje. Żaden „Topos”, „Borussia”, „Kresy”, „Studia Filozoficzne”, „Zeszyty Prasoznawcze”, „Dialog”, „Zdanie”, „Znaczenia”, „Pismo” i „Pismo Literacko-Artystyczne”, „Punkt”, „Krasnogruda” etc. Ani ogólnopolskie, ani regionalne. To co studiują studenci, skoro w ich imieniu orzeczono, że nic nie jest potrzebne?

Co się stało? Skąd ten pomór?”

Ano stało się chyba to, że życie literackie uległo spektakularnemu rozproszeniu. Paradoksalnie wynikało to z tego, że otworzyła się przestrzeń „wolnej amerykanki”. Powstawały dziesiątki nowych, lepszych lub gorszych, wydawnictw, mnożyły się setki debiutów (kiedy ja debiutowałem tomikiem wierszy w 1975 roku, ukazało się zaledwie 35 nowych książek debiutanckich); można by powiedzieć, że „mleko się rozlało”... Oczywiście tygodniki i miesięczniki literackie miałyby o tym wszystkim co pisać, ale nie wytrzymały presji „nowego rynku”. Sponsoring państwa malał, pisma regionalne (nierzadko świetne) traciły wsparcie, a i nowy boom literacki rozlał się jak wspomniane mleko nie do ogarnięcia. Innymi słowy „struktura życia literackiego” zeszła z ogólnopolskiej sceny. Dawniej pisarze byli oczkiem w głowie kultury. Dzisiaj pozostawieni są sobie. Telewizyjny program „Xsięgarnia” w TVN24 jest w tej sytuacji „szlachetną wyspą”. Ale jedna „Xsięgarnia” wszystkich księgarń nie ogarnie.

Wiele zjawisk zmerkantylizowało się, więc i prasa literacka zwiędła. Jestem jednak przekonany, że nasz światek literacki ma wciąż twórców i odbiorców, którzy w tej nowej rzeczywistości robią swoje. Co będzie dalej? Nic! Poeci, prozaicy, krytycy będą nadal pisać, ich „gildia zawodowa” przetrwa jeszcze wieki.

Też mam nadzieję. Czytajcie nas. Wszystkie w tym numerze jest warte przeczytania. Przecież po to robię to pismo. Książka-poeta Jerzy Hajduga – częsty gość na naszych łamach, nieraz już dzielił się z nami oplatkami przywiezionymi z Drezdenka. Obiecał i tym razem zaaranżować tę Jedyną Chwilę...

Wszystkim Wam najwspanialszego uświęcenia Bożego Narodzenia życzy red. nac.

Ireneusz K. Szmidt

JERZY ALSKI



cd. ze str. 1

pieniądze otwierające zamknięte aktualnie drzwi do taksówkowo-klubowego świata, tylko tyle. Na marginesie: w ten sposób sam dla siebie odkryłem znacznie redukcjonizmu. Zaś wracając do głównego nurtu: sposobów okazało się być pięć i tylko pięć, wszystkie pozostałe do nich się redukowały. I kontynuując, bo pragnę pokazać, jak pokrętnymi drogami biegła moja myśl, zanim zrodziła ideę tego eseiku, na wiele lat zapomniałem tę, jedną zresztą z wielu prześmiewczych klasyfikacji, jakie układałem z przyjaciółmi w czasach studenckich, a przypomniałem ją sobie niedawno, nieoczekiwanie konstatuując pewną metaforyczną podważalność stwierdzenia zawartego w pierwszym zdaniu tego ćwiczenia. Zdania o tym, że nie można nabyć czasu.

Przygotowując materiał do nowej powieści, nieoczekiwanie doznałem iluminacji: otóż istnieje sposób, aby nabyć czas, sposób możliwy do realizacji wszystkimi pięcioma drogami. Istnieje sposób, aby do realnego czasu własnego życia po wielokroć dodawać czas życia gdzie indziej i inaczej – a gdzie, o tym znowu za chwilę, bowiem najpierw będzie o pewnym potknięciu się o czas, które w historii już miało miejsce i ma zresztą nadal, tylko dotyczy innej relacji, mianowicie między czasem a pieniądzem. Dotyczy lichwy – a inaczej: użyczenia pieniądza na procent. We wszystkich kulturach lichwa jest procederem moralnie nagannym – aż tak nagannym, że zakaz lichwy jest jednoznacznie sformułowany w Starym Testamencie, w chrześcijaństwie poglądy teologów i myślicieli są – wszystkie bez wyjątku – albo negatywne, albo skrajnie negatywne, zaś w kręgu islamskim stworzono specjalny rodzaj bankowości, który przenosi oprocentowanie pożyczki na powinność dzielenia się zyskiem z produktu powstałego dzięki pożyczce. A wszystko to z jednego powodu: sprzedaż pieniądza za procent (czyli za pieniądź) jest sprzedażą odroczenia, a zatem czasu. Czas zaś nie jest własnością człowieka, bo nie człowiek o biegu czasu decyduje, zatem jego sprzedaż jest kradzieżą cudzej własności, w wymienionych kręgach kulturowych – własności boskiej. Sprzedaż czasu jest zatem w każdym przypadku moralnie naganna, bowiem jest sprzedażą cudzej własności, w tym wypadku boskiej, zawłaszczonej wbrew prawu i obyczajom. I w tym miejscu powtórzę pytanie, już raz postawione: czy aby na pewno?

Spróbujmy. Opisana wyżej naganna transakcja oferująca czas w zamian za lichwę dotyczy sfery „mieć” – sfery posiadania. Jest ona oceniana niezmiennie jako kradzież własności boskiej i jest zresztą złudna; żadnego dodatkowego czasu do przeżycia nie kupujemy sobie przecież w ten sposób, kupujemy określony czas dla określonej sumy pieniędzy, pozostającej w tym czasie do naszej dyspozycji. Taka sama suma, powiększona o odsetki, będzie do zwrotu po czasie określonym w umowie – mogą to być nawet te same banknoty. Pieniądze są nieodróżnicowane i same z siebie niczego nie tworzą. A przede wszystkim pierwotnie nie są wartością, dopiero zawarcie umowy nadaje im wartość. A kupując im czas, z pewnością nie kupujemy go sobie – przynależny nam z boskiego nadania czas pozostaje ten sam.

W tym właśnie miejscu zdarzyła się iluminacja. Przeżywając swoje życie, przeżywam czas, ten mnie przeznaczony. A cudze życie – opisane? A cudze emocje? Cudze refleksje? Czy nie jest tak, że czas spędzony nad opowieścią – czas, w którym jestem w opowieści zanurzony niekiedy tak bardzo, że z trudnością wracam do realnego świata – że ten czas jest cz-

sem dodanym? Że kiedy w realnym świecie siedzę w fotelu z książką, zatopiony w świecie opowieści, czas w niej biegnący, który czytając przemierzam przecież, że ten czas dodaje się do przypisanego mi czasu jako czas też przeżyty, nawet jeśli odmiennie aniżeli realny czas? Zaprzęgniemy arystotelijską argumentację i spróbujemy dowodu.

Pisarz tworzy opowieść. Rzecz w równej mierze dotyczy twórczości poetyckiej – w wierszu poeta zagęszcza emocje i refleksje, które powieściopisarz przekazuje w formie opowieści. W każdej opowieści zawarty jest jakiś świat, czy też jego fragment. Zatem twórca tego świata jest w relacji do niego w jakiś sposób bogiem – bo on go stworzył. Stworzył bohaterów, okoliczności i zdarzenia. Bogiem ułomnym, bo opisującym jedynie jakąś jego część. Powiedzmy, że jest tego świata demiurgiem – bogiem z niższej sfery. Pisarz – demiurg swoją opowieść wydaje. Czytelnik ją kupuje, otwiera pierwszą stronę i uruchamia wyobraźnię – zaczyna żyć opowieścią, albo – żeby to opisać dokładnie – żyć w opowieści, przemierzać czas opowieści razem z jej bohaterami. Czy kupił czas opowieści? W sensie identyfikacji z bohaterami, zdarzeniami i okolicznościami – tak. Czy zatem nabył czas?

Tak. Ponieważ czas jest jedną z wartości składających się na opowieść, nie jest z niej wyodrębniony, wyprowadzony w jakimś innym – obcym opowieści – celu. Nie istnieje żaden pieniądź, któremu czas opowieści nadaje wartość. Czas jest w opowieści i jest przez czytelnika wraz z opowieścią wchłaniany. Czytelnik przeżywa czas inny aniżeli swój własny, niekiedy – jeśli opowieść jest naprawdę dobra – niesłychanie intensywnie. Ten czas jest czasem, którego on by nie przeżył, gdyby nie opowieść. On żyje dłużej, czas jego życia wzbogaca się o czas opowieści. Każdej opowieści, którą przeżyje. Opowieść należy do sfery „być” – nie „mieć”.

Zatem można nabyć czas. Można wzbogacić czas przeżywany i można żyć dłużej – o tyle, o ile każdemu z nas przedłużą go opowieści, w które się zagłębimy, w których utoniemy niekiedy. Lichwa jest dozwolona, ale tylko w tym jednym przypadku – jeśli zaoferujemy komuś cały świat – wartość samą w sobie. Wówczas – cena nie gra roli.

Czas można dostać – jeśli ktoś podaruje nam opowieść. Można go pożyczyć – w bibliotece. Można nań zarobić – aby kupić książkę. Można czas zrobić – książkę napisać. I ukraść – świat jest pełen książek wyniesionych z cudzych bibliotek.

Wszystkim, którzy tworzą, życzę, aby pod choinką znaleźli nowe inspiracje do kolejnych opowieści. Wszystkim, którzy czytają – aby znaleźli pod choinką zapas czasu dający szansę życia przez tysiąclecia. Wszystkim – **Wesołych Świąt!** Czyńmy dobrze – aniołowie czuwają nad nami.

Alski



Z okazji świąt Bożego Narodzenia
pragnę życzyć Państwu dużo radości,
rodzinnego ciepła oraz spełnienia marzeń.

W nadchodzącym Nowym Roku
życzę wielu sukcesów, realizacji planów
oraz by towarzyszyły Wam szczęście i pomyślność.

Państwu i Państwa najbliższym
Prezydent Miasta Gorzowa Wielkopolskiego

Jacek Wójcicki

Jolanta Karasińska

MIKOŁAJ

Pora dziś na Mikołaja.
Dobroczyńca wymyślony,
choć on kominem wchodzi,
wcale nie jest osmolony.

Kiedy śnieg zasypie pola
i oprószy gęsty las,
on przychodzi z życzeniami
w ten świąteczny piękny czas.

Uśmiech niesie wszystkim
ludziom,
dzwonkiem znaczy swoją drogę,
a w podarkach rzeczy różne,
małe, duże, sercu drogie.

Kubrak jego jest czerwony,
czerwień barwa dobrze znana,
z cukierkami po kieszeniach
już uśmiecha się od rana.

Siwa broda, siwe wąsy
określają piękne lata.
Dziś pozbiera wasze prośby
do śnieżnego swego świata.

Nie narzeka, nie marudzi,
że robota wciąż ta sama.
Ciężkie paczki w worku nosi,
tak od zmroku – aż do rana.

A radości zawsze wiele
wokół ludzi wciąż rozdaje,
więc dlatego miesiąc grudzień
jest lodowym śnieżnym rajem!



KARAKUŁY CIOTKI MARCELINY

Od chwili opuszczenia łóżek przez domowników zamieszanie w jednorodzinny domku na willowym osiedlu „Łuska szczęścia” było nie mniejsze niż w wigilijny dzień poprzednich lat. Zmiana pościeli, ostatnie drobne zakupy, niespodziewane zdarzenia i samo przyrządzanie wieczerzy składały się na to, że wszyscy od rana gotowali się w sobie i rozluźniali parzące języki.

Babcia, zajęta kutią, starym zwyczajem nie dopilnowała grochu z kapustą i poszedł swąd. Jej córka pomstowała na smugi przy polerowaniu kieliszków do białego wina, zieć przy goleniu, bo strużka krwi zboczyła już trzeci wacik, a przecież zostało mu jeszcze kupienie choinki. Kiedy wrócił, żona dołała oliwy do ognia, przypominając, że lampki, które obiecał naprawić zaraz po święcie Matki Boskiej Gromnicznej, ciągle czekają...

I tylko zegar, jak to zazwyczaj bywa, nie stał, a przyspieszał i przyspieszał.

Nerwy, pretensje, uniesienia chwiały nastrojami. Grzechy wszelakiego kalibru leżały się jak kurz w dopiero co uporządkowanych sumieniach. Z wolna jednak przewidzianych i nieprzewidywalnych zajęć ubywało, a przybywało potraw, zapachów i kokardek na zielonych gałązkach, łącznie z krawatem z płóciennej serwetki, który ozdobił szyjkę półwytrawnego toka-ju. Obecność jednej, jedynej butelki alkoholu została wpisana w tradycję rodzinną babci i jej przodków jeszcze za sanacji. I nie można było pominąć wina, podobnie jak półmiska z karpem po żydowsku i riwierki śledzi w śmietanie. Oprócz tradycją uświęconych potraw nie mogło zabraknąć na stole nakrycia dla niespodziewanego gościa i jednego, szczególnie oczekiwanego – ciotki Marceliny, wiekowej kuzynki babci, starej panny. Zapraszana po tragicznej śmierci swoich rodziców, pojawiała się na wigilijnej wieczerzy rok w rok, wnosząc ze sobą coś specyficznego.

Zmierzch wkraść się do ogrodu dość gwałtownie. Niezauważony przez domowników Gwiazdor, starym zwyczajem podłożył pod drzewkiem z naprawionymi lampkami upominki i, nie wiedząc jaką szparą, czmychnął dalej. W gościnnym pokoju dwunastoosobowy stół wybielony obrusem połyskiwał zastawą, kieliszkami ze złotą obwódką i srebrem rodowych sztuców po dziadku ze strony ojca. Czerwień gwiazdy betlejemskiej zdobiła każdą serwetkę. Na środku ustawiony został pięcioramienny świecznik, a obok, z jednej strony talerzyk przykryty haftowaną serwetką i położonym opłatkiem, z drugiej Pismo Święte. Od strony kuchni niósł się czosnkowo-majerankowy aromat barszczu.

Wtenczas, gdy wszystko było zapięte na ostatni guzik, odezwał się domofon. Najmłodszy wnuk, student wydziału ichtiologii, podbiegł, nacisnął przycisk i zapytał:

– Kto tam?

W odpowiedzi usłyszał dość energiczną odpowiedź:

– Proszę otworzyć, to ja, ciotka Marcelina!

– Ciociu, z największą przyjemnością zapraszamy, już otwieram.

Wcisnął guziczek, po czym szybko wpadł do salonu, oznajmiając uroczyście:

– Uwaga! Ciotka nadchodzi.

Domownicy, z wyjątkiem babci zajętej w kuchni podgrzewaniem pierogów z kapustą i grzybami, zerwali się na równe nogi i pospiesznie zgromadzili w obszernym przedpokoju. Czekali na to coś, czego tylko raz w roku mogli zakosztować. Po chwili, w otwierających się drzwiach, ujrzeli elegantkę w słusznym wieku

i w jeszcze starszym karakułowym futrze. Raptem zapach świątecznego domu zdominował świdrujący nozdrza... wyziew naftaliny. Domownicy wzięli głęboki oddech. Tradycji stało się zadość.



Klucz moli w drodze na swe tradycyjne zimowe żerowiska

Ferdynand Głodzik USZKA WIGILIJNE

**W szarym mroku tonie miasto,
wkrótce Boże Narodzenie,
rozwałkował wałek ciasto,
pora zadbać o nadzienie.**

**Wysuszone mokną grzyby,
są kozłarze, borowiki,
mróz kuchenne srebrzy szyby,
może trafią się rydzyki.**

**Jest kapusty pełen garnek,
bo urodzaj był ogromny,
wybierano głowy twarde,
wycinano wszystkie głąby.**

**Warto dodać też cebulę
wszechobecną w różnych smakach,
jakże magii świąt nie ulec,
czasem zdarzy się zapłakać.**

**Uszka, chociaż są malutkie,
łowią głosy z każdej strony,
nie przemówią głosem ludzkim,
bo je zalał barszcz czerwony.**

OPOWIEŚĆ WIGILIJNA

Zasiedliśmy właśnie całą rodziną do wigilijnego stołu, kiedy do drzwi zadzwonił wigilijny wędrowiec. Tata poszedł otworzyć, a kiedy wrócił, minę miał taką, jakby zobaczył ducha. Za tatą do pokoju wszedł gość – najprawdziwszy renifer.

Posadziliśmy go na wolnym miejscu. Poczuliśmy się trochę zmieszani niecodzienną sytuacją. Ciocia Leonia, dla rozładowania atmosfery, zaproponowała reniferowi kolejno wszystkie potrawy z wigilijnego stołu, ale nasz gość tylko kręcił odmownie głową. Ostatecznie skubnął jedynie kilka słomek wigilijnego sianka spod obrusa. W ogóle był jakiś smutny.

– Tato, a kiedy przyjdzie Święty Mikołaj? – scenicznym szeptem zapytał mój młodszy braciszek.

Renifer nagle jakby się ożywił.

– Święty... – zachnął się renifer. – Miki, drogi chłopcze, nie przyjdzie. – Na szczęście mój brat nie zrozumiał.

Ciocia Leonia zaniepokojona nachyliła się poufale w stronę gościa i konfidencjonalnie szepnęła:

– Jak to nie przyjdzie? Zawsze przychodzi... To gdzie on teraz jest?

Renifer odchylił się i zza pazuchy wyjął zdjęcie, które podał cioci. Ta popatrzyła na nie, pokiwała ze zdumieniem głową i puściła fotkę w obiegu. Na zdjęciu uśmiechnięty brodaty jegomość w czerwonych szortach wylegiwał się w hamaku między dwiema palmami i kiwał ręką w geście pozdrowienia.

– A prezenty? – zapytała mama.

– Miki zdefraudował... Bo niby skąd wzięłby kasę na wypad na Hawaje? – zapytywał retorycznie renifer. – Właściwie powinienem być zadowolony – kontynuował. – Praca u Mikiego to niewdzięczna harówka. Gdybym miał jakiś wybór, już dawno oskarżyłbym go o mobbing.

Poczuliśmy głębokie współczucie dla renifera. Zastanawialiśmy się, jak mu pomóc. Nie wstając od stołu, zrobiliśmy szybką naradę rodzinną. Renifer wydawał się nieobecny, błądził myślami gdzieś daleko. Postanowiliśmy ofiarować mu, co kto mógł, aby jakoś pocieszyć i wesprzeć biedaka. Podarki wrzuciliśmy do worka, który renifer miał przy sobie. Kiedy wychodził, dziękując, wszyscy mieliśmy łzy wzruszenia w oczach.

Staliśmy przy oknie, patrząc, jak renifer stoi na chodniku i rozmawia przez telefon komórkowy. Po chwili pod dom podjechało BMW – srebrny metalik – i wysiadł z niego... Święty Mikołaj. Wziął od renifera worek, wrzucił do bagażnika i odjechali razem w nieznanym kierunku.



KRÓTKA HISTORIA UŻYCIA TLENU



– Za Bogusia. Za Andrzeja. Za Klema. Dam radę. Jeszcze kawałek.

Mobilizował sam siebie. Szczyt góry był już bardzo blisko, zbyt blisko, aby się teraz poddać. Trzech towarzyszy wspinaczki spadło w przepaść. Nie mógł zaprzepaścić ich wysiłku, musiał wejść i stanąć na szczycie.

Powietrze na tej wysokości było bardzo rozrzedzone, ale nie chciał korzystać z butli tlenowej. Płuca miał jak miechy, nie martwił się o nie, ale nogi zaczynały drżeć ze zmęczenia. Obawiał się skurczów, już mu się to kiedyś przytrafiło.

– Wejdiesz. Już tylko kawałek. Dasz radę. Dojdiesz pierwszy północną ścianą – myślał.

Bliskość wierzchołka, który zdawał się dotykać nieba, dodawała mu sił. Tak jak i pamięć tragicznego losu kolegów...

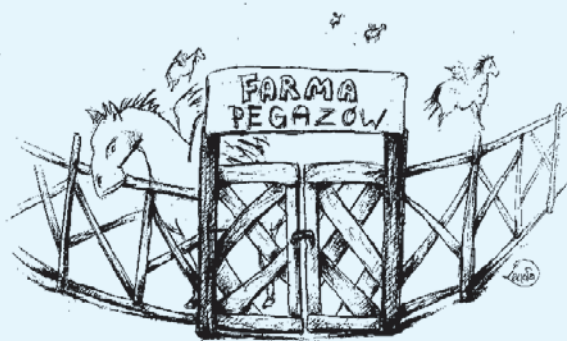
Udało się! Stał na szczycie góry, zdyszany i zmęczony. Spojrzał przed siebie, co za widok: wierzchołki gór spowite chmurami, mgła na przełęczach i nieskończone czyste niebo. Słońce ogrzewało twarz. Było cicho, żadnego wiatru. Udało się, był tu, dokonał tego, pierwszy...

– Przepraszam...

Ktoś dotknął jego ramienia. Odwrócił się gwałtownie, prawie połykając wyciągnięty ku niemu mikrofon.

– Czy mógłby pan powiedzieć kilka słów dla czytelników 75. numeru „PEGAZA LUBUSKIEGO”?

Poczuł nagły zawrót głowy. Namacał ustnik przewodu tlenowego i odkręcił zawór butli. ...To się zdarza na tych wysokościach.



Krystyna Dziewiałtowska-
-Gintowt (Dziwonia)

PTASZKI NIE W KLATCE

Koniec upalnego lata
w słońskim ogrodzie.
Winogronowe kiście
tylko na wyciągnięcie ręki.
Słodycz węgierek pozwala
wierzyć w istnienie rajów.
Brzoskwiniowy dywan sprzątam
wieczorem do przepastnych słoików.
Pod drzwiami wiadra gruszek
podrzucone przez sąsiadkę.
Orzechy czekają pod drzewem
w kolejce do zimowej spizarni.

Naciagam na ramę czerwoną osnowę.
Zaczynam przygodę z nowym gobelinem.
Zielone mięsiste owoce kolczurki
wyschną w ażurowe szkielety,
pnącza chmielu oplotą je
srebrzystoseledynowymi szyszkami.
Nazbieram krwawnika, szczawiu,
lipy, pęcherznicy i bluszczu.
Uwiję pasowe gniazdko,
kalinowym osłonię je dachem,
zaświecę miechunkowe lampiony.



Kotka Mamrotka i suczka Werwa
doniosą nazajutrz z przejściem:
– żółte ptaszysko rozsiadło się w gobelinie
i nie chce odlecieć!

Takie cuda są tu na porządku dziennym.

LISTA ZNACZEŃ NAJWAŻNIEJSZYCH

W pożarze zaproszonym przypadkową iskrą
spłonęły książki starannie spakowane w kartonach.
Nie ocalały fotografie, wtedy jeszcze odbijane na papierze.
Pakiety listów z naszych krótkich rozstań
pofrunęły sadzą w niczyją przestrzeń.
Osmalony haft świątecznych obrusów
pokrył całunem skromne, lecz tak bardzo nasze zgłiszcza.

Wtedy dopiero pojęłam tragedię wojny,
ból wspomnień strawionych pożogą,
tęsknotę za miejscem, do którego nie da się wrócić,
utrata wyrwanych korzeni, niechzących odrosnąć.
Słowa wolność i niepodległość przeniosłam
na początek listy znaczeń dla mnie najważniejszych.

Janina Jurgowiak (Jaszka)

BALKON

Jeszcze wczoraj stała tu
stara kobieta.
Patrzyła w stronę
dawnych spacerów
z mężem, który
odszedł zbyt daleko.

Dziś
w różowym negliżu młoda
pali pospiesznego papierosa,
po czym znika w głębi,
gdzie mąż
i kawał życia przed.

KIEDY POMYŚLĘ

Kiedy pomyślę o śmierci,
czuję niepowtarzalność
każdej chwili,
słyszę pulsowanie krwi,
smakuję życie.
A ty jesteś jak oddech,
jak sen ciepły, spokojny,
krzepiący.

ULICA ŚLĄSKA

Pod zamkniętymi powiekami
widzę ją –
Szeroka, senna, przymglona,
niemal bezлюдna...
Tylko czasem, gdy zawody tętni
tysiącem stóp,
które nie idą już na Eddy'ego.
Ten był bożyszczem,
teraz tylko idole.

EDDY

Dlaczego ten pomnik
w śródmieściu?
Jego miejsce przed stadionem,
gdzie imię żużlowca.
Stąd blisko na tor, po którym
ujeżdżałby nocą bezgłośnie
swojego Stalowego rumaka

„Dokąd, Cieniu, odjeżdżasz?”

CZAS SPAĆ

Kiedy życie
wysączone już do dna,
dzban trzeba potłuc,
choć trochę żal...

Czas spać,
pieśń tylko trwa.



Roman Habdas

DYPTYK BEZDOMNY

1. Szprotki w oleju

Zdziczały poligon wchłania galeria wypasionych willi.
Kanałowe psy mrużą oczy. Mrok węższy, ujawnia
konstelacje. Zapalniczki płomień przydatność
ogarków. Człowiek z altany podaje sobie ręce. Prawa
rozgrzewa lewą, ogień parafinę. Myśli nie nasycą
a wzrok płonie. Na szubienicy wieszaka, w łonie
zwisającej torby żyją przypowieści. Bezdomny
potrafi czytać Pismo. Krzykiem, szeptem modlić się
za tych na ziemi i tamtych w karczerze czyścica.
I amen!

Gdy pierwsza rozbłyśnie, przesuwa po chlebie cień
szczyryka. Palce łamią pszenno-żytni opłatek.
Wieczór niesie smak ciszy i szprotek w oleju.
Nad barakiem ponad nagością konarów orzecha
przetacza się księżyc. Zarys pnia splywa na ziemię.
Bóg się rodzi, a nijakie zwierzę nie przybłąkało się,
by puścić parę z pyska, pogadać po ludzku
z grzesznym.



2. Uśmiech pasztetu

O poranku Bezdomny wprosił się na ogrody.
Spod wyźbionych drzew podniósł twardy
do rozgryzienia owoc. Zbutwiały rozchylał łupinę.
Wyjęty zeń mózg wionął stęchlizną. Człowieczy,
z nową i starą korą, ciągle stanowił część istoty szarej
układu nerwowego. I wrócił Bezdomny myślą
do chwili przekłętej odległego dnia. Do odczytanej
między wierszami rzuconych słów zjadliwości.
Starczyło, by zatrzasnąć niewinne drzwi.
Odplynać w zbieractwo.
Teraz wysikał się pod drzewem i wrócił w barłóg
tajemnicy przeżyć. Naciągnął wiskożę kołdry, gryzł
posmarowaną uśmiechem pasztetu pajdę
i przeżuwał bezdomność
Bożego Narodzenia.

Marek Stachowiak

DIABOLICZNA PAREIDOLIA

Tylko dla zabawy lałem wtedy wosk
ale gdy w szczegółach
pierwszy utkwiał mi diabeł zobaczyłem że ciebie
przechodzi
lęk. Szybko obróciłem paskudę w lecącego orła
by bez zwłoki
już humorystycznie wieszczę dla siebie diabelsko
wysokich lotów.
Jednak ty już byłeś w głębokim zamyśleniu.
Więc dodałem że gdyby
trzymać się takiej konwencji to na Marsie byłaby
kamienna twarz
a obok niej wielka piramida. Że na półpiętrach
jakejkolwiek
mieszkalnej klatki w prawych górnych rogach
okien jeśli dobrze
się przyjrzyysz znajdziesz kwadrat
na którym obcuje święta rodzina.
A kominy wszystkich domów z naprzeciwka
z reguły osadza
jakiś mitologiczny wątek. Harpia Minotaur
lub Zeus z gromem czarnym.
Że tak w ogóle to mieszkamy w kraju
gdzie największą siłę przebicia
i refleks ma Matka Boska z Dzieciątkiem Jezus.
Że dlatego możesz być spokojną bo każda tutejsza
wyobraźnia
jest właściwie zawierzona i złe jej nie przemoże.
A ja tylko coś niezłego mogę napisać.
Uśmiechnęłaś się w końcu.

Łucja Fice

* * *

Stańło w progu jeszcze w papciach
Wyglądało jak przechodzień przechodzący
sam siebie
Ociąga się z ubraniem
Ale się narobiło
Ale ci się nazdawało
Ale się nie nakochało
Dość się już narozdawało myśli, gestów
Chcesz wyjść – proszę. Drzwi otwarte
Nie stój tak, jak pod zwaloną próżnią
Jakbyś czekało na inkwizytora grzechu
Po co wyciągasz ręce
W stronę jakiego wszechświata? Jakiego pejzażu
Nie stój w progu. Blokujesz przejście
Podać rękę?

Och, Ty, ŻYCIE!

Gorzów, 27 listopada Klub „Jedynka”

Pomysłodawczyni tych spotkań, **Beata P. Klary**, już kolejny raz zaprosiła lubuskich poetów. Tych już znanych i tych co dopiero zaczynają. Pierwsze spotkanie – trzy lata temu – miało miejsce w Świebodzinie, bo tam znajduje się niepisana granica między północą i południem regionu lubuskiego. I taki był zamysł. Aby scalić piszących z obu części województwa lubuskiego. Nie zawsze jednak to się udaje i spotkania nie odbywają się w przysłowiowej połowie drogi. Tym razem było ono w Gorzowie. Swoją twórczość zaprezentowali:

Krystyna Caban z Gorzowa

od 1957 roku. Z wykształcenia elektromechanik. Pisać zaczęła mając 40 lat. Zainspirowała ją spotkanie (w nietypowym miejscu, bo w szpitalu) z gorzowską poetką Barbarą Trawińską. To ona skierowała ją „po nauki” do RSTK, gdzie odbywały się m.in. warsztaty literackie. Były to lata 90. Już w 1991 roku zdobyła nagrodę za debiut wśród twórców RSTK. Ma na swoim koncie osiem tomików. Od debiutu do pierwszej książki minęło osiem lat. Jej poezja to fascynacja mężczyzną, miłość, zdrady czy rozstania. Ale także kobiety i przyroda. Ostatnio dużo miejsca poświęca swoim wnukom. Obecnie, jak mówi, jest wypoczętą emerytką. Ze swoim obecnym partnerem jeździ na złoty historyczne, bawi się w rekonstrukcje. Zajmuje ją zupełnie co innego (armaty, czołgi), a nie poezja. Choć pisać nie przestała.



Patrycja Swacińska z Drezdenka

Jako nastolatka należała do teatru „Alter Ego”, prowadzonego przez Tomasza Walczaka. Już wtedy pisała wiersze i wysyłała je na różne konkursy, zdobywając od czasu do czasu nagrody i wyróżnienia. Zadebiutowała przed laty w „Dzienniku Poznańskim”. Wiersze jej znajdują się w antologii twórców drezdeneckich. Nie ma jeszcze własnej książki. Należy do Grupy Literacko-Artystycznej „Lubrzeń”. I tu, na wspólnych spotkaniach grupy, uczy się warsztatu. Píše wtedy, gdy coś ją



Małgorzata Stachowiak-Schreyner

TOAST NOWOROCZNY

Napij się ze mną za to, że cię nie Kocham
z taką wzajemnością, a jednak umiemy
być razem na tyle tylko szczęśliwi, że można wytrzymać
dla wspólnego lejka, napoczętego słoika dżemu
z czarnej porzeczki

i całej poezji świata,
choć dawno już nasze miłosne zaklęcia
w kartonowym hospicjum na strychu
zapominają nadawców, adresatów i treści,
niepotrzebne jak starzy ludzie
w państwowych umieralniach.
My na obrusie nocy, jak srebrne widelce
w batystowych serwetkach osobnych snów,
i tak znajdziemy rano ciała zdrajców wtulone.
Widzisz, nitka świtu z nadprutej firanki stygnie
w szczybie kubka ze słoniem na szczęście.
Napij się ze mną choćby tej taniej herbaty,
wyciągnij rękę, obciągniesz rękę po cukiernicę
pełną po brzegi obietnic bez terminów
(skoro beczkę soli już zjedliśmy o trzydzieści lat
za wcześniej przez chronicznie przesłane obiady).
No to... Za ciebie, mnie, kota, komodę bez nogi,
i całą poezję świata, co pod kocykiem w żyrafy
śpi nieświadoma puenty.

WIERSZ, KTÓREGO NIE NAPISZESZ

To jest sukienka mojej żony, kiedy ją zakłada
w tym miejscu z pędów ramion zakwitają dłonie,
z wierzchu ciemne od słońca, a przychylne w środku,
po stopach w górę pną się błękitne bluszcze żyłek,
miękkie wydmy ciała, po których płynąć gładko,
jak przez pieśń Schumanna do białej wieży szyi i ust
takich drobnych, odwykłych od uśmiechów,
i oczu przymkniętych
wiecznym znużeniem matek, i do bruzd na czole
nie, trzeba wymazać to czoło, to jest czoło
dla starej kobiety...
to jest jej sukienka – zieleń zmięta z błękitem,
łąka pełna chabrow, na której jej nie było
od tak bardzo dawna.



Patrycja Swacińska

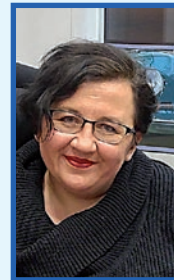
WIERSZE DEDYKOWANE

*** (Wojtkowi)
I wróciłeś nad ranem
wschodem słońca
leniwie rozciągnąłeś się
przy mnie
promieniami rąk
zanurzając się we włosach
ciepłym oddechem jak mgłą
otuliłeś
moje skronie
dzień zapowiada się pięknie

*** (Miłozowi Monasterskiemu)
Inspiruje mnie twoja sepia
często wieczorem wymyka się spod poduszki
długimi brązami opada na senne powieki
by cieniem dłoni powoli dojrzeć na bieli stron
wchłaniam przez skórę każdy wers
słowa kremowo rozlewają się w ustach
smakują znajomo
czytam kolejny raz
szepem

wzruszy, albo jakoś osobiście dotknie. Píše o nieuniknionej starości, o tym, co ją otacza i o swoich córkach. Od zawsze interesuje się teatrem i literaturą. Przygotowywała też z młodzieżą spektakle, które były pokazywane w szkołach. Inną jej pasją jest taniec. Pracuje w ośrodku wychowawczym dla upośledzonej młodzieży.

Małgorzata Stachowiak- Schreyner z Sulechowa



Mówi, że w tym, że zaczęła pisać, pomógł jej palec boży... Warsztatu uczyła się poprzez konkursy. Jest laureatką kilkunastu konkursów literackich. „Literatura to dla mnie poszukiwanie i zmiany”. Mówi, że chciała pokazać swoim córkom własne spojrzenie na świat. Bo życie składa się „z wielkich dramatów i radości, ale i drobnych kręgów na powierzchni rzeczywistości... Staralam się uchwycić bogactwo wpisane w dzieciństwo, dojrzałość i schyłek życia”. W 2005 roku ukazał się jej pierwszy tomik „O czymś” jako nagroda w konkursie. Wyróżniony też Lubuskim Wawrzynem Literackim za debiut. Kolejny tomik pt. „Jestem, która jesteś”, z ilustracjami Anety Godyń, ukazał się w 2013 roku. Między tymi dwoma książkami autorka szukała zmian i nowych ścieżek. Pracuje jako instruktor teatralny w Stowarzyszeniu na rzecz Kultury, Sztuki i Edukacji „Stella Parolis”. Z wykształcenia jest ekonomistką.

*** (Dla Eli i Toli)

Pod powiekami
przechowuję twarze
tysiące pierwszych uśmiechów
jak talizmany noszę w kieszeni
bo korale rąk
zdobią najpiękniej
w błękicie nieba i zieleni łąk
wasze spojrzenia
świeże radosne
bądź pochmurne i mokre
jak moje
szum włosów na poduszce
uspokaja
zatracam się w śladach
małych stóp
wytrwale deptających
obok mnie
ze mną



Krystyna Caban

PAPIEROWE PTAKI

niebo gwieździste
i ta przestrzeń między
pośrodku zawisło zdziwienie

nie dowierzam sama sobie
że noce mogą być tak inspirujące
choć wypełnione tylko
ciszą naszych myśli

wieczorami wycinałeś je
by o świetle
zawiesić pod sufitem

na spacerach słuchamy
ich treli i trzepotu skrzydeł
dostarczają tyle ukojenia
jak widok gwieździstego nieba

WIEM, ŻE MI NIE WYPADA

uwielbiam wesołe miasteczka
cały ten zgiełk i muzykę
lubię patrzeć na rozbawione dzieci
zawsze mam wielką ochotę
prześcąć być dorosłą
mieć ubabraną buzię watą cukrową
a niech tam raz sobie pozwolę

karuzela ruszyła a ja zamarałam
najbezpieczniej w bujanym fotelu

NIE ODLATUJMY JESZCZE

jak żurawie odleciało niezdecydowanie
one wracają
a do przeszłości powrotu nie ma

klucze do mojego gniazda oddałam
we właściwe ręce
czy popełniłam kolejny błąd

nie cofnę tego i nawet nie chcę
razem ten odlot żurawi oglądaliśmy
lubimy odgłosy trzepotu skrzydeł

wiosną wrócą jak uśmiech
w kącikach ust przysiądzie zdziwienie
piękny to widok dziękuję za dziś

bez słów czasami mówimy
o poranku dziobiąc słodkie okruchy
oczami pełnymi łez szczęścia

Leszek Lisiecki

POCHŁODNIAŁO

niebosiężne buki wygrzewają konary
zachłannie łapiąc złote zajaczki
wzdłuż ogrodzenia strzeliste topole
pod skarpą szpaler wiekowych dębów

wszyscy wciąż ze sobą debatują

posłuchaj
dęby teraz umilkły
czasem coś zaszeleści w koronach
i natychmiast drzewa podejmują opowieści

o czym tak szumią

każde inaczej
topole gawędzą najgłośniej
wystarczy najłżejszy powiew wiatru
a kiedy wichura to aż chorały słychać
nawet opadłe liście beztrząsają

to takie wspólne czytanie książek

CZYSTOŚĆ

nieskazitelną
wilgotnieję na policzku
uroczystym oczekiwaniem

krystalizuje marzenia
o szczerości i porozumieniu
zasypuje domy
przedświątecznym bezgrzechem

w posępnej przestrzeni pokoju
odgrodzieni od siebie
dzieli się opłatkiem
życząc lepszych czasów

nie znają żadnej modlitwy
o śnieg

PRÓBUJĘ ZATRZYMAĆ

najlepsze słowa
przychodzą nad ranem
niedobudzone

zapraszam je do dialogu
z przemokniętym dębem
pukającym w szybę

zarysy znaczeń
drapiecznie bezlistne
wpraszają się do sypialni
skulone w sobie
próbują ogrzać zgrabiące palce

przez chwilę rozprasza rozwrzeszczana sroka
strząsając lodowate krople
rozpryskują się na pościeli
nie szukam parasola

metafory łaszą się cichutko
nadal poza zasięgiem

znów nie napiszę wiersza

DEGUSTACJA

częstując sobą
zjadają mnie po kawaleczku
głośno mlaskając

ale miodzio świetny smak
pomrukują niewyraźnie z pełnymi ustami

wiesz lepszy byłbyś z solą
doradza jedna
i z odrobiną chili
dodaje druga
doprawiłabym jednak czymś słodkim
kwestionuje trzecia

waham się
ale klient nasz pan
nie ma sprawy

zwijam się jak kołacz
ugniatam w sobie wersy przenośnie
trawię idiomy zaimki inwersje
i wyrzucam wszystkie wykrzykniki

trudno być smakowitym wierszem

Leszek Lisiecki ze Skwierzyny

Urodził się w Warszawie. Po 30 latach wyjechał ze stolicy i zamieszkał w Skwierzynie. Wiersze pisze od bardzo dawna, ale dopiero w 2012 roku zadebiutował tomikiem „Wyniesiona ponad trawę”, wydanym przez Wydawnictwo Singo w Krakowie. Jego mentorem i przewodnikiem w pisaniu jest Joanna Rządkiwicz. Ona go „wykuwała”. Czytała wszystkie jego wiersze. Od niej nauczył się warsztatu. Poza tym czyta innych poetów i zyczajnie słucha. Interesuje się fotografią. To ona go kiedyś pochłonęła i była tą pierwszą. Jego wiersze to skojarzenia, to połączenie fotografii i poezji. Tworzy bardzo refleksyjne miniopowieści o czymś dla niego ważnym. Przez pewien czas był członkiem Koła Młodych Pisarzy przy krakowskim Oddziale ZLP. W roku 2014 ukazał się jego drugi tomik pt. „Nikt nie budzi drzewi”, wydany także w Krakowie. Prezeska krakowskiego Oddziału ZLP Magdalena Węgrzynowicz-Plichta pisze w posłowie do tego tomu: *Na tle debiutów ostatnich lat zauważam, że poezje Leszka Lisieckiego należy wyróżnić pozytywnie ze względu na dojrzałe refleksje o życiu i przemijaniu, zawarte jakby od niechcenia przy fotograficznym ujęciu tematu lub dobitne sformułowanie w sarkastycznych pointach, jak i na walory artystyczne...*

Poza tym poeta gra na gitarze i komponuje muzykę do wierszy. Ongiś pracował m.in. w policji i na saksach. Obecnie jest pracownikiem ochrony majątku wojskowego w Skwierzynie. Każdy z uczestników spotkania zaprezentował kilka swoich wierszy.

Ewa Rutkowska





A ŚWIADEK STAŁ W SZEREGU

Za nami święto setnej rocznicy odzyskania przez Polskę niepodległości. Święto Niepodległej. W Gorzowie zorganizowano wiele wydarzeń i pewnie jeszcze wiele się odbędzie, bo przecież o rocznicy pamiętamy przez cały rok. To, co odbyło się w samą rocznicę, zapowiadano, pozostawiając gorzowianom wybór.

Przed weekendem uczniowie i przedszkolaki przede wszystkim śpiewali hymn, włączając się w bardzo modne współcześnie bicie rekordu. W końcu domagamy się mniejszego patosu przy świętowaniu, więc to bicie rekordu miało uczynić śpiewanie choć trochę fajniejszym, a przy tym przypomnieć nie tylko pierwszą zwrotkę. Były wystawy, spotkania, ogniska, bitwy rekonstrukcyjne, pokazy maszyn wojskowych, spektakle i koncerty, nie wyłączając Filharmonii Gorzowskiej. 11 listopada biskup Tadeusz Lityński odprawił w kościele przy ul. Żeromskiego mszę za ojczyznę, a po niej uczestnicy przemaszerowali na plac Grunwaldzki.

– Pani Haniu, chyba już nam się nie zdarzy uczestniczyć w tak licznych pochodzie gorzowian – powiedział do mnie sympatyczny gorzowianin. I chyba miał rację, choć kto wie...

A w pochodzie ludzie szli i szli. Na czele z orkiestrą. Potem mundurowi, poczty sztandarowe, harcerze nieśli chyba stumetrową flagę biało-czerwoną, a całość zamykali jeźdźcy na koniach. Ubrani byli w mundury z różnych okresów historii Polski. Na placu Grunwaldzkim odbyły się główne uroczystości, które rozpoczęły pokaz tańców ludowych w wykonaniu Małych Gorzowiaków. Jak zwykle w takich sytuacjach generał odebrał meldunek, żołnierze gremialnie odpowiedzieli: „Ku chwale ojczyzny”, odśpiewaliśmy cztery zwrotki hymnu państwowego, odczytano apel poległych

i wystrzelono salwę. Oczywiście, nie mogło zabraknąć przemówień gospodarzy uroczystości, czyli Wojewody Lubuskiego i Prezydenta Gorzowa. Wielu ludzi już wtedy opuściło plac. Do końca natomiast stały poczty sztandarowe, a wśród nich w szeregu człowiek, o którym nikt nie wspominał. Być może w obchodach 100-lecia uczestniczyli inni ludzie, którzy przyszli na świat tuż po I wojnie światowej i choćby z racji wieku powinno się godnie ich przywitać i coś o nich powiedzieć. Nie wiem. Ja dostrzegłam jednego. To 92-letni **Henryk Szulżycki**, który zawsze przy wszystkich ważnych uroczystościach trwał przy sztandarze Armii Krajowej.

Pan Henryk stał przy swoim sztandarze i w kościele, i w czasie przemarszu z ul. Żeromskiego, i od początku do końca uroczystości na placu Grunwaldzkim, oddając honor tym, którzy polegli za naszą wolność, i tej, która po 123 latach odzyskała niepodległość. Nikt jednak go nie powitał. Odczytano nazwiska wszystkich ważnych, piastujących jeszcze ważniejsze stanowiska, młodych i młodszych, ale ani słowa o takich ludziach, jak pan Henryk. Podeszłam więc do niego. Zsalutował mi. Powiedziałam: – A ja witam serdecznie pana Henryka. – Jeszcze jako stoję – odrzekł.

Nie wiem, jakie myśli krążyły po głowie niemal wiekowego człowieka, który przyszedł na świat niedaleko Wilna. Jako 16-latek złożył przysięgę i został żołnierzem Armii Krajowej. Przyjął pseudonim „Kruk”. Został włączony do 10. Osmiańskiej Brygady AK pod dowództwem por. Konrada Bukowskiego „Gustawa”, brał udział w Operacji Ostra Brama w Wilnie, doświadczył pobytu wśród krasnoarmiejców, w 1945 r. uciekł z Białorusi do Polski, a rok później po raz pierwszy trafił do Gorzowa.

Wiem natomiast, że o takich ludziach nie wolno zapominać. Wiem, że nie wystarczy ucisnąć im dłoń przy okazji Tygodnia Seniora czy Dnia Kombatanta. Wiem, że jeśli my nie potrafimy zachować pamięci o wcześniej urodzonych, to ci, którzy przyjdą, i o nas pamiętać nie będą. A żeby o tym wiedzieli, trzeba dawać im wzór do naśladowania. Tęgo przy okazji święta 100-lecia w Gorzowie mi zabrakło. W czasie uroczystości zostali zaślubieni uczniowie klas mundurowych, którzy pewnie nie mieli pojęcia, że obok nich stoi żywa historia, świadek przeszłości, człowiek, który w ich wieku przysięgał na Armię Krajową i pozostał jej wierny do dziś.

tekst i foto
Hanna Kaup



*Zdrowych,
spokojnych Świąt
Bożego Narodzenia,
pomyślności
w Nowym Roku 2019
życzą
dyrekcja i pracownicy
Wojewódzkiej i Miejskiej
Biblioteki Publicznej
im. Zbigniewa Herberta
w Gorzowie
Wielkopolskim*

WIGILIA 1981

Zamiast opłatka
łamią się serca...

Myśli jak telegramy
spieszą do bliskich,
bez cła i wizy
przekraczają granice
rozłąki.

Zawsze wolne
jak wędrownie ptaki,
omijają cenzurę
i strażników.

Mimo krat i knebli
przemycają słowa
i najdroższe skarby
ukryte w źrenicach
załzawionych oczu.

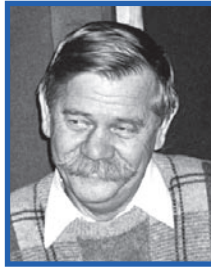
Puste miejsca
przy stołach,
siano, obrus, strawa,
modlitwa za jutro –
są z Ojczyzną,
która ma teraz oczy
zwrócone ku Niebu...
Zakwita gwiazda
wigilijna.

Zimno za oknem,
plącz dziecka za tatą...
Słowa są w myślach,
a serce w klatce
jak stary czyżyk
śpiewa własne,
nieklamane pieśni.

Rozbrzmiewa kolęda:
*Bóg się rodzi,
moc truchleje...*

Zenon Cichy

Piotr Steblin-Kamiński CO BY ZE MNĄ BYŁO?



Właściwie to nigdy nie myślałem o dniu 11 listopada 1918 roku jak o jakiejś specjalnej dacie, przełomowym momencie dla mojej rodziny. Ot, ogłoszono niepodległość Polski po iluś tam latach niewoli, jakieś rządy, jakieś przemarsze, jakieś...

U nas w poznańskim, a właściwie wielkopolskim domu nigdy specjalnej wagi do centralnych, warszawskich wydarzeń nie przywiązywano. Bardziej świętowało się dokonania powstańców wielkopolskich w Kaliszu czy Krotoszynie. No i w rodzinnym Ostrowie Wielkopolskim. Ważniejszy był Odolanów czy Przygodzice niż Warszawa czy Wilno.

Prababcia Kołodziej akuszerką w Ostrowie Wielkopolskim była. Przypominam młodym, że akuszerka porody przyjmowała. Ostra była, zasadnicza, ale i zaradna. Ciułała grosz do grosza, a że renomę miała doskonałą, nie raz i nie dwa złota moneta wpadała do wanienki, gdy jakiegoś arystokraty nowego potomka kąpała. Poznaniacy znani byli z oszczędności, ale i z dbałości o swoją renomę. Postaw się, ale pokaż, że masz gest. Uzbierała więc woreczek tych monet. Pradziadek Kołodziej, czyli jej mąż, kolejjarzem był. No bo czym w mieście kolejowym mężczyzna powinien być? Kolejjarzem. Mało zaradnym był, mało przebojowym, trochę kaleką, bo rękę na kolei stracił. Do tego był romantykiem. Oczytanym, dobrym, spolegliwym i nadzwyczaj spokojnym człowiekiem był. Tylko z tym swoim romantyzmem miał kłopoty. To znaczy kłopoty przez ten romantyzm z prababcią moją, czyli swoją żoną miał. Niestety romantyczką ona nie była.

Gdy w listopadzie 1918 roku nastąpiła niepodległość, władza wystosowała apel do narodu. Cały Naród buduje swoją Ojczyznę. Pamiętajmy, że po latach niewoli skarbiec państwa był pusty. No bo skąd miały być pieniądze? Cały naród więc powinien się złożyć na funkcjonowanie odrodzonej Polski. Na apel rządu dziesiątki tysięcy ludzi oddawały swoje oszczędności, kosztowności, precjoza. Prababcia Polką była, z odzyskanej niepodległości się cieszyła, ale woreczka z monetami wyłowionymi z kąpielii noworodków oddawać nie zamierzała. Pradziadek głośno przyznawał jej rację, po cichu zaś knuł, jakby tu tę Polskę złotem kąpielowym wspomóc. I wspomógł. Pewnego dnia wziął woreczek i zaniósł do Narodowego Polskiego Banku.

Do legendy rodzinnej przeszło, co się potem działo. W każdym razie cisza i dostojny dystans małżeński panowały w domu przy ul. Dworcowej długo. Bardzo długo. Kiedyś się jednak musiała ta ciężka cisza skończyć. I skończyła się też za przyczyną użycia przez Polskę niepodległości.

Odzyskanie niepodległości otworzyło w Polakach niewyobrażalne teraz pokłady społecznej dobroci, zrozumienia, otwarcia na świat. Faktem jest, że była w kraju ostra walka polityczna, faktem są kłótnie partyjne i późniejsze nieprawości. Do spektakularnych jednak decyzji nowych polskich władz należało przyjęcie do Polski kilkudziesięciu tysięcy uchodźców z Rosji Sowieckiej. Ogarnięta rewolucją i wojną domową Rosja krwawiła w straszliwy sposób. Całe bataliony, pułki białogwardyjskich oficerów szły z bagnami na radzieckie oddziały tylko po to, żeby zginąć. Nie mieli gdzie wracać, rodziny zostały wymordowane przez czerwonoarmistów, domy popalone.



Niektórym udało się przekroczyć granicę odrodzonej Polski. Byli przygotowani na najgorsze. Wszak to właśnie oni przez 200 lat z rozkazu cara w ryzach naród Polski trzymali, a każdy odruch wolnościowy Polaków niszczyli w zarodku. Bali się, ale w Polsce nie było rozsądnego motłochu, rozwydrzonej czerni. Tam czekała ich śmierć, tutaj, w Polsce... nie wiedzieli. Polska przyjęła ich wszystkim, co miała dobrego. Przyjęła swoich prześladowców, bo teraz oni byli prześladowani.

Trzy duże kolonie uchodźców w Polsce powstały. W Warszawie, Lublinie i w Ostrowie Wielkopolskim. Kolonia Ostrowska była najmniejsza. Szarą eminencją była moja prababcia Cecylia Steblin-Kamińska. Ta prababcia też była ostra.

Nie miała woreczka ze złotymi monetami, ale miała styl, godność i poważanie wśród rosyjskiej kolonii uchodźców. Języka polskiego nie umiała, rosyjski znała słabo. Rodzimą była dla niej mowa francuska. Do prababci dołączył jej syn, a mój dziadek. Gdzieś z Afryki, przez Oslo i Berlin, przyjechał do Polski w jednym mundurze, ale za to nie wiedzieć dlaczego, przy szabli.

Przystojny był ten Moskal niewątpliwie, szabłą po ziemi ciągnął, dziewczyny z Ostrowa podobno „w majtki sikały”. Nie zżymajcie się, tak się w poznańskim wtedy mówiło. Siostra tego Moskala, Maria, założyła w Ostrowie pięcioletnią szkołę rosyjską, którą parę lat kierowała.

Dziadek tak długo po Ostrowie z szabłą łąził, aż babcię moją z domu Kołodziej zobaczył. Babcią, córką milczącej prababci akuszerki (tej od złotych monet), wychowanie staranne i jak na owe czasy wykształcenie stosowne otrzymała. Technikiem dentystycznym była, a więc w nomenklaturze mieszczańskiej niezłą partię stanowiła.

No i babcia tego Moskala z szabłą zobaczyła też. Piorun w obydwójce strzelił. Babcia dobrą kobietą była, wychowywała mnie aż do śmierci, ale tak Bogiem a prawdą, co w niej ten dziadek widział – nie wiem. Prababcia akuszerka zaś nie wiedziała, co jej córka w tym Ruskim mogła zobaczyć. Nie dosyć, że gołodupiec, to jeszcze jakiś czarniawy. No i Moskal. Może się na miłości nie znała.

I wtedy prababcia przerwała spowodowane patriotyczną hojnością swojego męża milczenie. Nakazała pradziadkowi rozbić, rozwalić, zakończyć ten uczuciowy związek. Absolutnie nie dopuścić do ślubu. Naiwna. Faktycznie, nie wiedziała, co miłość może zdziałać. Cała rodzina wiedziała i do tej pory wie. Nie dała rady. Jeszcze miała nadzieję, że ślubu nie dostaną, bo dziadek prawosławny był, a babcia katoliczką.

Dziadek do papieża o zgodę prośbę wystosował. Prymas Polski prośbę poparł i specjalną bullą zgodę Watykanu babcia na ślub w Cerkwi, a dziadek na ślub w Kościele katolickim otrzymali. A potem... A potem urodziła się moja mama.

Po wojnie dziadka NKWD aresztowało i w gulaszu w Permie na Uralu wykończyło, mama za pracą do Dzierżoniowa wyjechała, a ja dorastałem pod opieką babci jako ta Jutrzenka Nowych Czasów.

I pomyśleć tylko, że gdyby nie tamta wolna Polska, Moskale dalej by kraj nadwiślany okupowali, dziadek zamiast miłość swojego życia spotkać, jakiś kolejny zryw powstańczy Polaków by tłumił, babcia kolejne monety za zrobione zęby do woreczka by chowała. A ja? Co by było ze mną?

Barbara Adamiszyn

WSZYSTKO PRZEZ TE PLATANY



Styczeń w Gorzowie z lekkim mrozem. Wracając z niedzielnej mszy, poszłam na spacer. Po drodze nieczynna fontanna, stojąca na środku placu. Po jej obrzeżu biegają małe dzieci. Plac Grunwaldzki w Gorzowie. Miejsce obchodów imprez narodowych, różnych innych uroczystości, wyłożony płytkami, całkowicie uporządkowany, zurbanizowany. W jego głębi stoi monumentalny pomnik z dzwonem pokoju. Rozkoszując się piękną słoneczną pogodą, spojrzałam na szpaler platanów rosnących wzdłuż ulicy Słowackiego. Zobaczyłam stare pnie i ogromne, splecione we wszystkich kierunkach, konary. Robią wrażenie. Te nagie, odarte z listowia drzewa odsłoniły swoją starość, a mnie uświadomiły upływ czasu. A jeszcze tak niedawno oglądałam je tak młode, piękne i silne.

Boże, ile to już lat minęło? Liczę, liczę i nie wierzę rachunkom. Liczby są jednak bezwzględne. I co? Ja, stary bankowiec, doliczyłam się ich ponad siedemdziesięciu. No tak, do Gorzowa przyjechałam jako dziewięcioletnie dziecko. Zamieszkaliśmy przy ulicy Mickiewicza, a przez ten plac chodziłam codziennie do Szkoły Podstawowej nr 1 przy ulicy Żukowa (obecnie Dąbrowskiego). Nieraz biegało się tędy i dwa razy dziennie na zajęcia popołudniowe.

W tamtych latach plac tonął w zieleni, cały obsadzony krzewami. Przed platanami usypano podłużne kopce – podobno schrony przeciwbombowe. Był dla nas miejscem zabaw. Okresowo nabierał innego charakteru, np. gdy przyjeżdżał cyrk lub ustawiano na nim karuzele: wielką łańcuchową dla starszych i małą dla dzieci. Wtedy teren ten stawał się centrum rozrywki dla całego miasta.

W późniejszym nieco okresie, w latach pięćdziesiątych, plac pełnił funkcję targowiska miejskiego. Przyjeżdżali tu ze swoimi towarami okoliczni rolnicy. Kupowało się od nich twarogi, masło, jaja, śmietanę, a także warzywa i owoce. W mleczarniach sprzedawano w tym czasie najczęściej rozwodnione mleko, za którym stało się jeszcze w długich kolejkach. Na targowisku było „prosto od krowy”: smaczne, tłuste, nadające się na zsiadłe. Była z tego podwójna, a może i potrójna, korzyść. Z mleka zsiadłego zbierało się śmietanę i można było zrobić prawdziwy twaróg. Mimo braku Sanepidu – nikt nie chorował. W tamtych czasach na obiad najczęściej jadało się zsiadłe mleko z kartoflami okraszonymi skwarkami ze słoniny. Jeszcze teraz cieknie mi ślinka na myśl o tych specjach.

Następne wyraźne wspomnienia o placu związane są z czasem, gdy chodziłam tam na spacer z córeczką Kasią w wózek. Później wyprowadziliśmy się z tej dzielnicy do nowych bloków, co uważaliśmy za wielką nobilitację. Plac Grunwaldzki odwiedzaliśmy już tylko od czasu do czasu, najczęściej przy okazji dancingów w Casablance.

W czasie mojego zimowego spaceru jeszcze inne ciekawe wspomnienia przywołało spojrzenie na kamienice przy Słowackiego. Byłam kiedyś z koleżanką u jej znajomej i znalazłam się nieoczekiwanie w mieszkaniu Włodzimierza Korsaka. Nie miałam wtedy pojęcia, kim on był. Pan Korsak, jako samotny wdowiec, potrzebował dorywczo pomocy w prowadzeniu gospodarstwa domowego. I tym właśnie zajmowała się nasza znajoma, a jego sąsiadka. W czasie, gdy ona wykonywała swoją pracę, pan Korsak opowiedział mi o swoim życiu i działalności. Był Na-

czelnym Łowczym II Rzeczypospolitej, leśnikiem, pisarzem, fotografem, a przede wszystkim okazał się przeuroczym starszym panem i wspaniałym gawędziarzem. Takich przedwojennych, prawdziwych inteligentów rzadko można było spotkać w Gorzowie lat pięćdziesiątych. Ja miałam okazję go poznać. Niedawno zwiedzałam muzeum w Kłodawie poświęcone Włodzimierzowi Korsakowi. Proszę sobie wyobrazić radość, gdy odnalazłam w nim wiele eksponatów, które zapamiętałam z tamtej kilkunastogodzinnej wizyty sprzed lat w jego mieszkaniu.

I tak krótki niedzielny spacer po placu Grunwaldzkim wywołał lawinę wspomnień i refleksji. A to wszystko przez platan, które kiedyś takie dorodne, a teraz powyginane przez wiatry i burze, ze skruszoną korą, uświadomiły mi moje życie i obecny dostojny, jak u nich, wiek. **Lecz cóż, mimo wszystko ja też jeszcze stoję, nie poddaję się i czekam na kolejną wiosnę.**

Basia – piękna, starsza pani. Emerytowana pracownica banku, od której dobrego humoru zależał budżet nie tylko Gorzowa, ale także Stilonu – pierwszego supersponsora kultury i sportu. Widocznie nigdy uśmiech nie schodził z jej twarzy, bo miasto rosło, sport był jego wizytówką. A kultura? No cóż, jak na średnie miasto, wydała wielu nieprzeciętnych artystów: muzyków, aktorów, malarzy i literatów. Uśmiech do dziś nie schodzi z twarzy pani Basi, a jej nieprzeciętna pamięć dostarcza nam ciągle nowych wspomnień.

MAJÓWKA

„Witaj majowa jutrzeńko”, witaj maj: pierwszy, drugi, trzeci – wszystkie świąteczne i wszystkie „dla Polaków błogi raj”.

Rozświątowaliśmy się majowo, obsługując wszystkie maści społeczne, polityczne i narodowe.

Tegoroczna majówka bardzo mnie rozczuliła. Wybrałam się na śpiewanie pieśni narodowych w dniu 2 maja. Było i radośnie, i podniosłe, i serdecznie. I wszyscy wszystko potrafili śpiewać. Co prawda, przeważała młodzież emerytalna, ale rodzynki wnuków też się trafiły, a nawet równie donośnie śpiewały.

Impreza odbywała się na przepięknie urządzonej w centrum miasta „Kwadracie”. Gdy rozejrzałam się dookoła, zrobiło mi się tak ciepło na duszy i tak jakoś poczułam, że to jest moje miejsce na ziemi.

Zawsze gdzieś bujałam w chmurach, chodząc jako dziecko ulicami Warszawy, i nagle zdałam sobie sprawę, że nie tamto odległe, a to zachodnie miasto jest właśnie moim. Przecież tutaj przeżyłam 73 lata, a to – licząc po księgowemu – 88% mojego życia. Tu, na tym placu, uświadomiłam sobie, że to w Gorzowie wzrastałam, założyłam rodzinę, urodziłam dzieci, pochowałam swoich bliskich, a więc właśnie w tym mieście zapuściłam korzenie. I wtedy te sennie majaki o Warszawie jakoś mi się rozmyły. Odetchnęłam pełną piersią. Tak, to moje miejsce.

To niesamowite, że wspólne, narodowe śpiewanie, gdy rozejrzałam się wokół i zobaczyłam na nowo stare kamienice stojące po bokach „Kwadratu”, przyniosło mi tyle wewnętrznej radości. Jak to dobrze, że choć późno, ale to nastąpiło.

Wracając wieczorem do domu, po obowiązkowej kawie „U Sowy”, spotkałam na przystanku dwie panie siedzące i śpiewające „O mój rozmarynie”. Gdy zapytałam, czy za mało się naśpiewały, odrzekły, że trzeba to koniecznie powtórzyć. I jak się nie cieszyć naszym miastem i swoim miejscem na ziemi.

GDY NIE ZNAŁEM JESZCZE ŻYCIA

Wracając pamięcią w tamte szalone, szczeniackie lata, przypominam sobie, że na ogół myślałem w kategorii „tu i teraz”. Do pewnego wieku człowiek jest tak czarująco naiwny, że rozstania są dla niego czystą abstrakcją, którą należy podsumować ostentacyjnym splunięciem na chodnik. Tak też robiłem w czasie, gdy nie zdawałem sobie jeszcze sprawy z tego, że ludzie przychodzą i odchodzą.

1979

Zawsze powtarzano Ci, że młodość rządzi się swoimi prawami. Lecz gdy robiłeś coś niezgodnego z ich kodeksem, karcili słowem i czynem. Dosyć tego. Czas rozbić ostatnią latarnię ciężkim kamieniem. Czas przywitać wschód słońca przekrwionymi oczami. Czas nie mieć dla świata czasu. Czas zadbać o przeszłe wspomnienia.

PUNK ROCK

Egzystujemy w społeczeństwie, ale razem, zwarci, stoimy na granicy marginesu, żyjemy po swojemu i tworzymy własne zasady. Z otaczającym światem walczymy i wysysamy z niego co najlepsze. Dla swoich normalni, dla innych świry.

JA, KEJBO I SAJMON

Trzech chłopaków w wieku na oko gimnazjalnym wychodziło z parku, paląc papierosy i wyśpiewując na przemian kolejne zwrotki „Krwi Boga” i „Baranka”. Jeden z nich wyraźnie miał już dość wieczoru, ale pozostali dwaj sunęli chodnikiem jak na skrzydłach. Przechodzili czas pierwszej fascynacji alkoholem, gdy przed wejściem do domu żujesz dwie gumy i smarujesz kremem ręce, by rodzice nie wyczuli zapachu fajek. Wtedy nie myśleli jeszcze o paradzie wspomnień, którą właśnie zaczęli wspólnie tworzyć.

ZOFIA

Szukanie włącznika zajęło mi chwilę, a po zapaleniu światła ujrzałem strych dziadków w pełnej okazałości. Czas trzymał się tu na niebotycznie długi zimowy sen. Moją uwagę przykuła stara, pokryta kożuchem kurzu butelka, stojąca na sztywnym i równie mocno zakurzonej komodzie. Ledwo dojrzałem, że w środku znajdował się kawałek papieru zawinięty w rulon. Jak okazało się chwilę później, był to list bez adresata: *Wiem, że nie zmienię tego, że dla Ciebie będę już na zawsze małym dzieckiem, które tuliłaś w swych ramionach, gdzieś na drugim końcu kraju pod koniec mrocznych czasów. Minęło tyle lat, a te wspomnienia zawsze będą dla Ciebie najpiękniejszymi kartkami pamiętnika. Wiesz doskonale, że decyduję o sobie już w pełni samodzielnie i że nie masz na to wpływu, choć cały czas próbujesz być moim Aniołem Stróżem. Przeklinam to i błogosławię. Łączy nas wszystko, dzieli nas drugie tyle. Staram się wykorzystywać jak najlepiej nasz czas, tak jak na to zasłużyłaś. Ale coraz częściej mi to nie wychodzi. Wiedz jednak, że Twój radosny uśmiech jest i zawsze będzie moim proporcem.*

WIOSNA NA NAS POCZEKA

Noce na pełnym gazie, tęsknisz do nich szczerze, ale przecież ja też uważam to za coś na kształt religii. Mimo to moja historia kończy się tam, gdzie Twoja się zaczyna. Ulatujesz w powietrzu jak dym, który próbuję złapać w ręce. Szytlet przebija serce, z którego płynie czarna krew, zupełnie jak na moim rękawie. Czy zobaczymy się jeszcze tej zimy?



ULOTNE CIEPŁO DOGASAJĄCEGO OGNISKA

Pamiętam czas, gdy nie znałem uczucia tęsknoty i żalu. Każdy świt był przygodą, a nie bolączką, a w ich oczach tliły się radość i ciepło. Łagodna czerwcowo noc, gdy przegapiliśmy, jak zamieniła się w dzień. Pamiętasz to jeszcze? Nie było dnia, bym o tym nie myślał.

LATO ROZSTAŃ NA MANHATTANIE

Podczas powrotu do domu zachodzące słońce żegnało się z Gorzowem, a ja patrzyłem na ten malowniczy obrazek i słuchałem American Football, zlewając się z miejską architekturą – zamalowanymi sprayem ścianami, brudnymi wiatami przystankowymi, zakochanymi parami bez przyszłości i wyraźnie szurniętą babą, która pytała mnie, czy ma dobrze ustawioną datę w telefonie. Niebo nad Manhattanem było tak nisko, że człowiek miał wrażenie, iż może dotknąć je ręką, gdyby tylko chciał mu się stanąć na palcach. Tak upływał koniec tego lata rozstań.

W PUŁAPCE STREFY KOMFORTU

Telefon milczał, ale zdążyłem już do tego przywyknąć. Znajomi i przyjaciele, nawet ci najbliżsi, pozamykali się w domach jak w niezdobytach twierdzach. Część z nich wyprowadziła się za miasto do świeżo wybudowanych domów, inni jak żołnierze w okopach siedzieli nieustannie w swoich mieszkaniach, które spłaca za 20 lat. Spontaniczność i chęć poznania zostały brutalnie przepędzone przez zobowiązania wobec partnerów i wpasowanie się w szablon czegoś, co powszechnie ludzie nazywają „dorosłym życiem”. (...)

Zawsze ciężko jest przyjąć do wiadomości fakt, że miasto, za które oddałeś serce, już nie jest w stanie nic ci zaoferować.

– Może właśnie taki jest bieg życia, że z czasem ludzie tworzą swoje dwuosobowe stada, później je powiększają i wypinają się na to, co znajduje się po drugiej stronie drzwi?

Tego typu rozważań nie było końca, zwłaszcza gdy kończył się dzień i pozostawałem z czarnymi myślami w czterech ścianach pustego mieszkania.

LANS I ODRAZA W XXI WIEKU

Przychodzisz na świat z krzykiem na ustach, zupełnie nagi. Nie masz nic i jesteś całkowicie zależny od innych. Później rośniesz, uczysz się zasad rządzących tym miejscem i braku reguł panujących wśród ludzi. Walczysz w piaskownicy o swoje, wymachując wątlami piąstkami. Jesteś zmuszony, by powtarzać ten proces na kolejnych poziomach edukacji, choć jest ci nieco łatwiej, bo wątle piąstki stopniowo powiększają się, męźniej i obrastają grubą skórą. Gdy inni z uśmiechem na ustach marnują czas, ty inwestujesz w siebie, w swoją wiedzę, w swoje marzenia i cele. W końcu całkowicie przestajesz być zależny od innych. Stajesz się panem sytuacji, panem życia. Stać cię na dalekie wojaże, szybki samochód i budowę domu dla ukochanych rodziców. W cyfrowej dobie dzielisz się swoim sukcesem poprzez media społecznościowe. Chcesz pokazać innym, że nie trzeba narzekać i że niemal zawsze ciężka praca i wiara w siebie przynoszą skutek. Chcesz po prostu dać tym leniwym skurwysynom przykład.

...Ale hejterzy i tak nazwą to lansem i konsumpcjonizmem.

KONIEC ŚWIATA
PRZYJAŁEM Z ULGĄ

Poranek 10 kwietnia 2010 roku przywitał mnie poza Gorzowem. Przebywałem u mojej ówczesnej dziewczyny w jednej z wielkopolskich miejscowości. Obudził mnie dźwięk radiowej transmisji, który dochodził z podwórka obok. Momentalnie po przebudzeniu wiedziałem już, że wydarzyło się coś bezprecedensowego, coś, czego nie doświadczamy na co dzień. Przechucie mnie nie myliło, bo szybkie przejrzanie ogólnopolskich portali informacyjnych potwierdziło, że tego dnia wydarzyła się bolesna dla naszego kraju historia.

Dziesięć lat później otworzyłem oczy z tym samym przecuciem. Za oknem ruch aut był bardziej wzmożony niż zwykle. Przechodnie nerwowo przemykali chodnikami, obładowani reklamówkami z jedzeniem i zapasami wody. Nie było natomiast widać młodzieży z II LO, która normalnie o tej porze zmierzała do szkoły. Znów, tak jak w 2010 roku, otworzyłem laptopa i zacząłem szukać informacji. Serwisy donosiły o asteroidzie, która w nocy czasu polskiego diametralnie zmieniła swój bieg i sunęła w prostej linii na naszą planetę. Według NASA i wszelkich rządowych służb największych krajów świata, nie było dla nas ratunku. W pierwszej kolejności poczułem gwałtowny ścisk w klatce piersiowej i prerażenie. Później przyszedł moment niedowierzania. Jednak z kolejnymi komunikatami w sieci i telewizji zrozumiałem, że nadchodzi koniec świata.

Zacząłem od emocjonalnej wizyty u rodziców, którzy za nic nie chcieli przyjąć do wiadomości tego scenariusza. Później obdzwoniłem wszystkich bliskich przyjaciół, ale z częścią z nich nie udało mi się połączyć. Wiedząc już, że nie ma dla nas wszystkich szans, usiadłem na ławce na placu Starego Rynku, odpaliłem papierosa i zacząłem przyglądać się spanikowanym ludziom. Duża grupa dewotek modliła się na kolanach pod drzwiami nieczynnej, strawionej częściowo ogniem katedry, prosząc o cud i wybawienie. Inni nerwowo biegli do domu z zapasem pięciolitrowych butelek wody i suchym prowiantem. Złodzieje i biedota wybijali szyby sklepowych witryn i plądrowali pozostawiony przez właścicieli towar. Policjanci starali się do końca wypełniać swoje obowiązki, kierując ruchem aut i zachowaniem przerażonego tłumu. Sam, o dziwo, czułem wielki spokój. Nim wyrzuciłem niedopałek pod nogi, przez kulę ziemską przetoczyła się wielka fala uderzeniowa, która doszczętnie zniszczyła cały dobytek naszej cywilizacji, a w tym obozy koncentracyjne w Północnej Korei, getta Stanów Zjednoczonych i brazylijskie fawele, rezydencje miliarderów i kolorowe domki jednorodzinne, budowane przez mężów zdradzających w delegacji swoje żony.

Koniec świata przyjąłem z ulgą, bo po raz pierwszy w dziejach ludzkości wszyscy zostaliśmy potraktowani równo.

Filip Praski – rocznik 1986, urodzony w Krakowie, ale związany z Gorzowem od wczesnego dzieciństwa. Magister dziennikarstwa i komunikacji społecznej. Przez siedem lat pracował jako czynny dziennikarz. W tym roku zakończył przygodę z wyuczonym zawodem, dzięki czemu ma więcej czasu na pielęgnowanie pasji – pisanie opowiadań. W swojej twórczości porusza się po obszarze ciemnej strony życia – opowiada o alkoholizmie, narkotykach, patologjach społecznych, braku nadziei na lepsze jutro. Tłem dla tych historii jest w większości przypadków Gorzów XXI wieku.

Artur Wodarski
ROK OSTATNI

Jest rok 2020. Przełom września i października. Od początku roku miały miejsce trzy wojny światowe. Pierwsza zaczęła się niewinnie od kłótni o kawałek ziemi na oceanie; jedni mówili, że jest ich, bo wybudowali tam kiedyś urząd pocztowy, drudzy, że z historycznego punktu widzenia należy się właśnie im. Jedni i drudzy wciągnęli w konflikt trzecich i czwartych. Nastąpił efekt kuli śnieżnej. Używając dalej zimowej metafory: przez świat przetoczyła się lawina i nie ominęła nikogo. Druga wojna była tylko konsekwencją pierwszej: po licznych bombardowaniach kawałek ziemi na oceanie zniknął pod wodą, co stało się zarzewiem dla drugiej odsłony zbrojnego konfliktu. Jeszcze raz lawina przetoczyła się przez cały świat i nikogo nie pozostawiła obojętnym. Właściwie niewiele wiadomo o trzeciej wojnie. Nikt już nie pamięta, kto pierwszy rzucił kamieniem, kto zamachnął się kijem... Zaczęło się niespodziewanie w czerwcu i nagle w lipcu ucichło. W sierpniu z wody wyszły dinozaury. Najpierw pojawiły się roślinożerne, a zaraz po nich creme de la creme tych gadów: tyranozaury. Z gór przyfrunęły pterozaurowa, a ludzie pochowali się w jaskiniach.

Powoli nadchodziła jesień. Wraz z nią przybywało drapieżników, a ubywało ludzi. Nieliczni wywędrowali wysoko w góry, tam, dokąd nie mogły dostać się najgroźniejsze ze zwierząt. Na początku września zaczął padać deszcz: najpierw spokojnie, a później opady stały się tak intensywne, że czasami niczego nie można było dostrzec przez ścianę wody. Oceany i morza wystąpiły ze swoich granic. Garstka uratowanych z przerażeniem patrzyła, jak woda podnosi się i połyka kolejne kilometry ziemi. Ludzie szli jeszcze wyżej, aż dotarli do szczytu, który wznosił się ponad chmurami. Wszyscy mieli problem z oddychaniem i po każdej nocy ubywało ocalonych. Umierali z wycieńczenia, staczali się z góry i ginęli w odmętach wody. Wreszcie zostało tylko dwóch ludzi. Obydwaj byli przeraźliwie głodni i śmiertelnie zmęczeni, ale kiedy przelatujący nad ich głowami ptak wypuścił z dziobu rybę, rzucili się na nią, angażując w walkę resztki sił.

Można by powiedzieć, że na przełomie września i października na wierzchołku góry, wśród spienionych fal i padającego deszczu, stoczono ostatnią bitwę czwartej wojny światowej. Jeszcze zanim krew pokonanego spłynęła po skałach do wody, zwycięzca zatopił zęby w zdobycznej rybie; nie jadł, tylko w sposób żarłoczny zaspokajał głód. Nagle złapał się za krtań i kaszlnął. Próbował złapać oddech, ale rybia ość, która utkwiała w przełyku, nie pozwalała na złapanie powietrza. Mężczyzna osunął się na ziemię. Jego twarz nabrzmiała czerwienią. Próbował uderzyć ręką w plecy, by wykrztusić ość, ale nie mógł dosięgnąć. W ostatniej chwili, tuż przed śmiercią, w jego głowie pojawiła się myśl, że gdyby nie zabił...

Jest grudzień. Rok 2020. Rok ostatni.

Drugi numer półrocznika „LandsbergON” upewnia, że w Gorzowie mieszkają autorzy całkiem ciekawych opowieści.

Przypomnijmy: w czerwcu ukazał się pierwszy numer pisma wydawanego przez Stowarzyszenie na rzecz Innowacji Społecznych Novum. Redaktor naczelny **Mariusz Sobkowiak** wtedy pisał: „LandsbergON” ma być czasopismem tworzonym przez mieszkańców, aby pokazać, że Gorzów jest fantastyczny i by móc w tej niezwyklej formie promować nasze miasto”. A szerzej – chodziło o literaturę z kręgu science fiction, fantasy, horroru, niesamowitości, ale zawsze związanych z miastem.

„Motywy przewodnim drugiego numeru naszego pisma – tłumaczy we wstępie Naczelny – jest groteska i absurd”. A więc nowe płaszczyzny literackich poszukiwań.

Jakub Łukasik w obszernej „Opowieści o gorzowskiej Wandzie” odwołał się do legendarnej Wandy, co nie chciała Niemca, i przeniósł ją do współczesnego Gorzowa, albo raczej do gorzowskich podziemi. Wanda po prostu niszczy wszystkich mężczyzn, którzy noszą niemieckie lub niemiecko brzmiące nazwiska. Robi to programowo, z premedytacją, okrutnie. Nasi bohaterowie dostali zadanie odszukania i zniszczenia Wandy, tyle że jeden nazywa się Schmidt, a przodkowie drugiego spolszczyli niemieckiego Pruskiego, więc po prostu się jej boją. Szukają pomocy u prezydenta miasta, który co prawda nazywa się Jacek Święcicki, ale jego babcia... Prezydent szuka racjonalnych sposobów wyjścia z sytuacji, a tymczasem Wanda demoluje całe śródmieście. Kiedy prezydent odbiera telefon od wojewody z informacją, że właśnie jedzie do Gorzowa autokar pełen ważnych Niemców, załamuje się. I tu kończy się opowiadanie, a dla mnie właśnie rozpoczyna to, co najciekawsze. Wandę trzeba poskromić. Jak? Jakub Łukasik na pewno ma dużo pomysłów i czekam, który wybierze.

Potoczycie, z dużą swobodą i dobrymi pomysłami napisane opowiadanie. Gratuluje.

Karol „Trapi” Wojdyło twierdzi, że współcześnie tylko w pociągach mogą się zdarzyć niespodziewane, a nawet absurdalne sytuacje. Opisuje historię, która zaczyna się całkiem realistycznie, a kończy nie wiadomo, czy we śnie, czy na jawie, ale nie to jest najważniejsze, bo autor przedkłada zabawę słowem, kalambury, śmieszne nazwy. Nasz bohater ocknął się w miejscowości o nazwie Szczerympol.

Dobre pióro, bujna wyobraźnia, świadomość użycia słowa – to duże atuty Karola Wojtyły i jego twórczości.

Akcja krótkiej opowieści **Tomasza Grabowskiego** toczy się w 2078 roku (to jest tytuł), czyli za tylko 60 lat. Zapewne będą tacy, którzy dożyją tego roku, a więc będą mogli sprawdzić wizję autora. A jest ona niesamowita. Przede wszystkim nafaszerowana techniką, chyba nawet wyższą niż elektronika. Oto moment obudzenia Johna, bohatera opowiadania:

Na ekranie naprzeciw łóżka pojawił się oprogramowany obraz opiekuna domu. W głośnika odezwał się znany Johnowi głos:

– Dzień dobry, czas wstawać. Jest 6.00.00000 czasu strefowego X-51. Proszę przyłożyć rękę do czujnika w celu zeskanowania linii izotermicznych.

– Dziękuję.

– Proszę założyć Fototronik.

– Dziękuję. Ciśnienie oraz stężenie glukozy w normie. Lekki niedobór wapnia i selenu.

Czy tak będą wyglądały poranki naszych dzieci lub wnuków? Obraz świata stworzony przez Tomasza Grabowskiego, choć zamknięty w krótkim opowiadaniu, jest coraz to bardziej groźny. Rządzi nim technika oraz Unitarna Republika Cyborgiczna. Człowiek nie ma nic do powiedzenia.



Przyznaję, przeraża mnie ten świat, ale opowiadanie czytało się znakomicie. Autor ma dar stwarzania sugestywnych obrazów, a ich zimną obcość potęgują świadomie wprowadzane pojęcia techniczne. Taka metoda pisarska sprawdza się w krótkich formach. Czekam na następne opowiadania o przyszłym świecie.

CC Allin nie chciał ujawnić swojego nazwiska, więc niech tak pozostanie, choć podczas promocji pokazał swoją twarz, a nawet podał imię i nazwisko. Przeczytacie je na stronie obok w **DEBIUTACH PEGAZA**. Kiedyś przy ul. Owczej w Gorzowie zobaczył szyld „Pralnia”. W pralni pierze się brudne rzeczy. A gdzie można uprać grzechy? W „Pralni grzechów”, którą wymyślił CC Allin.

Przyszła tam piękna Kinky, prostytutka, i Maciejko, jej alfons. Co było dalej, trzeba przeczytać.

„Pralnia grzechów” to króciutkie opowiadanie, ale chyba najbardziej związane z realiami współczesnego życia. Autor widzi i opisuje nasze życie, a że czasami fantazja go poniesie... Dzięki tej fantazji trafił do „LandsbergONu” i zaraz potem do „Pegaza Lubuskiego”.

Jedyną autorką z dorobkiem literackim, która także zgłosiła swoje opowiadanie, jest **Łucja Fice**. Narratorka, może sama autorka, będąc w Bawarii, zobaczyła na niebie dwa księżyce. Teraz snuje domysły, jaka była przyczyna tego astronomicznego zjawiska. UFO? Sygnał nowej galaktyki? Jakies pozaziemskie technologie? Nieznane sygnały kosmosu? Rozważania autorki idą w kierunku znalezienia racjonalnych, naukowych przyczyn, a taki wywód – z uwagi na krótką formę – musi być powierzchowny. Mnie nie przekonał. Wolałabym, aby Łucja Fice zawierzyła swojej wyobraźni.

Natomiast relację z autentycznych zmagania człowieka z techniką zmieścił **Mariusz Sobkowiak** w opowieści „Jak przegraliśmy z maszynami”. Tu o meczu szachowym Garriego Kasparowa z komputerem, przygotowanym do tej rozgrywki przez najlepszych programistów. Dopóki komputer robił ruchy według programu, Kasparow zawsze wygrywał. Kiedyś komputer zrobił coś, czego mu nie zaprogramowano. I Kasparow przegrał. Więc kto jest mądrzejszy? Człowiek czy maszyna?

Okładkę drugiego numeru „LandsbergONu” zaprojektował fotografik **Piotr Merda**. Nad urokliwą ulicą Mieszka I fruwały ryby i inne monstrialne stworzenia, świat rozświetla hermetyczna lampa, a efekty świetlne realnej ulicy nadają urok baśni. Wewnątrz jeszcze jedno zdjęcie Piotra wykonane tą samą techniką nakładania na siebie kilku obrazów. Efekty niesamowite. Także kolorowe grafiki **Mikołaja Leszczyka** i **Krzysztofa Ostrzeniewskiego** wpisane w formułę deformacji.

24-stronicowy „LandsbergON” udowadnia, że mamy w Gorzowie szerzej jeszcze nieznaną, a ciekawych autorów tekstów, fotografików i grafików. Formuła fantastyki, grozy, absurdu ośmieliła ich do ujawnienia swoich pomysłów i prac gotowych do pokazania odbiorcom. Chwała więc redakcji, że stworzyła taką szansę, i chwała Urzędowi Miasta, który dał na to pieniądze. Oby w przyszłym roku także.

Krystyna Kamińska

„LandsbergON” nr 2, wyd. Stowarzyszenie na rzecz Innowacji Społecznych Novum, red. **Mariusz Sobkowiak**, www.landsbergon.pl, e-mail: landsbergon@gmail.com.

Druga promocja tego numeru i jego autorów odbędzie się 28 grudnia o godz. 18.00 w Klubie „Jedynka” przy ulicy Chrobrego.

ZANIM SKOCZYSZ DO RZEKI

(fragment powieści)

– A jak dojadę do domu?

– Bardzo prosto. Po zwiększeniu kosztów utrzymania prywatnych samochodów, które większość czasu i tak bezużytecznie zajmowały miejsca parkingowe, łatwo było przekonać ludzi do ekologicznych, napędzanych energią elektryczną, wspólnie używanych pojazdów, które w skrócie nazywamy Shari. Stworzyliśmy więc sieć pojazdów obsługujących wszystkie dziedziny życia, które dzięki optymalnemu planowaniu z maksymalnie możliwą efektywnością transportują ludzi do wszystkich wybranych przez nich celów. Ty podajesz dokąd i kiedy chcesz jechać, a my z dokładnością do pięciu minut odbieramy cię z punktu zbiorczego naszym samojezdnym pojazdem. Koszt przejazdu automatycznie odciągany jest z twojego konta, a Shari dostaje twoje dane i zatrzymuje się w podanych przez ciebie miejscach lub też w miejscu przesiadki do innego pojazdu, zmierzającego w pasującym tobie kierunku. Dzięki temu nie ma praktycznie wypadków, korków, zanieczyszczonego powietrza oraz zwykłej, ludzkiej zazdrości o droższy samochód sąsiada. Same zalety, jak widzisz.

– I wszyscy zgadzają się na to, żeby miejsca ich pobytu i trasy codziennych wędrówek przetwarzane były w sposób przez nich niekontrolowany?

– Wszyscy zrozumieli, że w ten sposób możemy zapewnić im optymalne, a więc i szczęśliwe życie. A przecież o to przede wszystkim chodzi, nieprawdaż?

Nie bardzo już chyba przetwarzałem, co Adam do mnie mówi, ruszyłem więc przed siebie, a Infinity informowały mnie na bieżąco o prawidłowym kierunku mojego spaceru, odległości do miejsca docelowego i czasie, kiedy do niego dotrę. Dopiero teraz uświadomiłem sobie, że zupełnie nie rozpoznaję okolicy, w której się znajdowałem, a przecież po dwudziestu latach znałem nasze miasto dosyć dobrze.

– Jaka to ulica? – spytałem przechodzącego obok mnie mężczyznę.

Z nieskrywaną litością spojrział na mnie tylko krótko przez swoje okulary i bez słowa podążył przed siebie. W tym momencie przypomniałem sobie, że przecież nie wolno zaczepiać ludzi na ulicy i że każdy wie, że jestem „nie tego ten”.

– Adaś – powiedziałem na głos z udawaną uprzejmością przez zaciśnięte zęby – w jakim mieście i na jakiej ulicy do jasnej cholery się znajduje!

– Nie spinaj się tak, Mariuszu, bo ci żyłka na czole nieestetycznie pęcznieje. I wołę formę dorosłą, czyli Adam.

– Coraz bardziej gównie mnie to obchodzi, co ty, wy, oni wolicie lub też sądzicie! – wystrzeliłem w przypląwie narastającej złości.

– Wiem, że to wszystko przerasta twoje zmysły i daleka droga przed nami, ale od tego jestem, żeby ci pomóc – odpowiedział z tym samym spokojem, z którym reagowała Ewa na moje emocjonalne zaczepki. – Nazwy ulic to taki sam przeżytek jak miesiące czy lata. Parametry wszystkich i wszystkiego zdefiniowane są w systemie, więc do czego ci te nazwy ulic? Podajesz, dokąd chcesz się przemieścić, a my automatycznie zadamy o optymalny i najszybszy z możliwych rodzaj transportu. Zresztą ty i tak żadnych nazw ulic nie pamiętałeś i zawsze do domu jakoś wróciłeś.

Rzeczywiście była to moja słabość. Ciekaw jestem, co jeszcze System na mój temat wie i komu tę wiedzę udostępni.

– Rozumiem, czyli jak chcę pojechać do babci, to mówię głośno BABCIA i jedziemy? Jasne...!

– Nie bardzo rozumiem, dlaczego cię to dziwi. Babć możesz mieć maksymalnie dwie, każda z nich ma inne imię, a na pewno inne nazwisko. Więc jeśli troszkę bardziej sprecyzujesz, którą babcię akurat chcesz odwiedzić i w jaki sposób chcesz się tam przemieścić, sprawnie i szybko pokierujemy twoją podróżą. Tylko nie zapomnij wziąć ze sobą koszyczka!

Muszę przyznać, że niestety Adaś miał poczucie humoru bardzo zbliżone do mojego, więc trudno mi było nawet chcieć go kopnąć w tyłek, co i tak fizycznie nie było możliwe. Irytował mnie coraz bardziej fakt, że nie miałem do dyspozycji żadnych parametrów określających miejsce, w którym się znajduję, jak i to, że tego miejsca nie mogłem nijak przypasować do znanych mi i zapamiętanych obrazów.

– Jak długo będę jechał do domu?

– Aktualnie wychodzi piętnaście minut i dwadzieścia cztery sekundy, wliczając czas dojścia do punktu zbiorczego, jeśli nadal będziesz szedł tym tempem i nie będziesz zaczepiał porządnymi ludźmi – odparł mój towarzysz z przekornym uśmiechem.

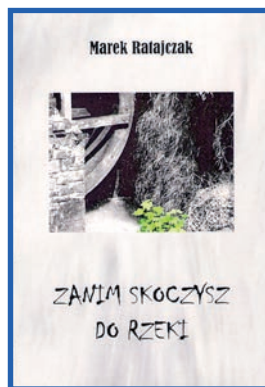
Piętnaście minut... czyli muszę znajdować się całkiem blisko domu. Dlaczego jednak nikt mnie nie odebrał? Już w szpitalu wielokrotnie zastanawiałem się, dlaczego nikt mnie nie odwiedza. Co prawda przez swój język, czasami zbyt bezpośredni, nie należą do ludzi specjalnie uwielbianych przez tłumy, ale jest przecież od zawsze dzielnie trwająca przy moich wadach żona, moje dzieci, Grzesiek. A tu nic, pustka. W takich momentach byłem wdzięczny mojej głowie za nieustanne produkowanie przemyśleń, wniosków i pytań, które w ten sposób zajmowały moją samotność. Tak naprawdę niewiele z tego wszystkiego rozumiałem, ale najwyraźniej świat w bardzo krótkim czasie doznał jakiejś ogromnej przemiany, przy zastosowaniu jednak techniki i technologii, które nie były mi przecież obce. Samojezdne samochody, carsharing, nawigacja na bieżąco wyliczająca optymalną trasę, gadanie do smartfona w celu uzyskania informacji z po brzegi wypełnionego morza zasobów wiedzy. Dochodząc do umownego przystanku, zauważyłem, że stojący tam ludzie sprawiają wrażenie bardzo zrelaksowanych i zadowolonych ze świata, w którym akurat przebywają. Nikt nie gapił się bezwiednie w kawałek czegoś tam trzymanego w ręce. Dla takich smartfono-uzależnionych w niektórych krajach zaczęto nawet montować sygnalizację świetlną w chodnikach przy przejściach, bo zahipnotyzowani włązili na czerwonym świetle pod koła nadjeżdżających samochodów. Fascynujące jest, z jakim zachwytem potrafimy opowiadać o nowopoznanych, niesamowitych ludziach, których spotkaliśmy zupełnie przypadkowo na urlopie, na jakiejś imprezie lub też przy innej jednorazowej okazji. Cóż za zrządzenie losu! Właśnie wtedy, w tym miejscu, w tym samym czasie my i oni! Jednocześnie jakoś zupełnie nie zdajemy sobie sprawy z tego, że takich ludzi bezpowrotnie mijamy, codziennie idąc ulicą, zatopieni w swoim – z naszego punktu widzenia niezwykłym – świecie, do którego bylibyśmy gotowi wpuścić tylko tak samo wyjątkowych jak my. Ale takich nie spotyka się przecież wcale lub też jeszcze rzadziej. Obserwując zatopionych w swoich smartfonach ludzi czekających czy też już jadących autobusem, pociągiem lub innym środkiem masowej komunikacji, zastanawiałem się często, dlaczego tak łatwo rezygnujemy ze wzbogacania siebie nawzajem, z poznawania ludzi niezwykłych, o podobnych zainteresowaniach, poglądach, o zbliżonym sposobie postrzegania otaczającego nas świata. Pomyślałem, że w dobie wszechdostępnych, acz ściśle zastrzeżonych danych osobowych i przy wykorzystaniu niewolniczo wiążącej wszystkie nasze zmysły techniki, prawdopodobieństwo takich spotkań można zwiększyć o ostrożnie szacowane 99,9 procenta. Wymyśliłem więc aplikację na wszechobecne smartfony o wdzięcznej nazwie „talk-to-me”. Zasada działania była bardzo prosta. Ludzie otwarci na świat, na innych mogli zameldować się w „talk-to-me”, podając swoje dane w zakresie zdefiniowanym przez siebie. Minimum stanowiło wpisanie swojego hobby i zainteresowań. Dane te można było rozszerzać dowolnie o na przykład przeczytane książki, ulubione filmy itd. Status aktywny oznaczał gotowość do wartościowej rozmowy, bez żadnych podtekstów. Im więcej danych, tym większe prawdopodobieństwo umilenia ciekawą rozmową naszej – rzadko dobrowolnej – samotności, spotkaniem człowieka wartościowego. Twój smartfon da ci znać i umożliwi kontakt z ludźmi, których do tej pory omijałeś w przekonaniu, że tylko przypadek i niesamowi-

te zrządzenie losu może zdecydować o waszym spotkaniu. Oczywiście opowiadałem o swoim kolejnym genialnym pomysle, z nieukrywaną dozą jakiegoś przerażonego niezrozumienia pomieszanego z nerwowym niedowierzaniem, sygnalizowały mi jednoznacznie niedorzeczność mojego pomysłu. Na poważnie myślisz, że ludzie będą chcieli rozmawiać z nieznanymi, czyli całkiem obcymi?! Serio?!!! Na nic zdały się próby mojej rzeczowej argumentacji, że przecież każdy jest nieznanym tylko do momentu, kiedy go poznamy, obcy do czasu, kiedy po raz pierwszy skierujemy w jego kierunku słowa, na które może właśnie czekał. Moja logika z całą siłą niedocierania do potencjalnych użytkowników po raz kolejny wyprowadziła mnie na rozległe pole niepodzielanego samozachwyty, a „talk-to-me” wyłądownął w szufladzie zakurzonej pomysłami nikomu niepotrzebnymi.

Szuflada ta powoli już się nie domykała, ale niestety nie potrafiłem opanować mojej przypadłości, jaką było nieustanne produkowanie wyłącznie w moim przekonaniu genialnych pomysłów, mających uszczęśliwić przynajmniej całą ludzkość. A tutaj, każdy wyposażony w Infinity, najwyraźniej nie tracąc czasu na zbędne bodźce, grzecznie czekał na kolejny cud techniki, który dla nich był zwykłą codziennością. I cud na tyle bezszelestnie nadjechał, że odwracając się w tym momencie, o mało nie dostałem palpacji serca. Okulary zasygnalizowały mi zielonym światelkiem, że tenże pojazd przyjechał również po mnie, więc nie zwlekając, grzecznie usiadłem w środku. Drzwi się bezdźwięcznie zamknęły i ruszyliśmy z bardzo przyjemną prędkością przed siebie. Ulice specjalnie jakoś się nie zmieniły, a mijane samochody były wszystkie w takim samym, piaskowym kolorze i różniły się od siebie przede wszystkim wielkością. W środku mojej wielkopowierzchniowej taksówki było siedem komfortowych miejsc siedzących, sprytnie rozlokowanych po pojeździe tak, że każdy mógł swobodnie dotrzeć do wolnego miejsca. Na zewnątrz migwały mi budynki, równie ładne lub też brzydkie, jak te znane mi z przeszłości, oraz ludzie, samotnie lub grupami podążający w jakimś tylko sobie znanym kierunku. Pojazd zatrzymał się po raz kolejny, a moje światelko zasygnalizowało mi, że dojechałem do celu podróży. Po wyjściu na zewnątrz byłem już pewny, że znajduję się w zupełnie innym, nieznanym mi mieście! Wiedząc już z doświadczenia, że na pytania niecierpiące zwłoki nie dostanę cokolwiek wyjaśniającej odpowiedzi, ruszyłem za głosem Adama, który radośnie poprowadził mnie krętymi uliczkami. Wyświetlana odległość do celu po kilku minutach marszu zmalała do zera i zatrzymałem się przed jakimś budynkiem, którego drzwi otworzyły się przede mną na oścież. Adam wizualnie odpałił się na nowo i poinformował mnie o położeniu mojego mieszkania na drugim piętrze po prawej stronie. Długo się nie zastanawiając, wbiegłem na górę i zanim zdążyłem cokolwiek zrobić, również i te drzwi otworzyły się automatycznie.

Marek Ratajczak

Urodził się 18.06.1972 r. w Gorzowie Wielkopolskim. Ukończył Szkołę Podstawową nr 5 i Technikum Samochodowe w Zespole Szkół Budowlanych przy ulicy Okrzei. Od 1996 r. mieszka w Paderborn w Niemczech. Tam skończył szkołę ekonomiczną, prowadzi prywatne biuro rachunkowe. „Zanim skoczysz do rzeki” jest jego debiutem literackim. Ma już gotową książkę „Jak wiśnia w kompot” o swoich młodościowych doświadczeniach w Niemczech.



CO PO UNII EUROPEJSKIEJ?

Marek Ratajczak, autor książki „Zanim skoczysz do rzeki”, urodził się, dzieciństwo i lata szkolne spędził w Gorzowie, a potem, jak wielu z jego pokolenia, wyjechał w świat. Nawet nie tak daleko. Mieszka w Paderborn.

Ale – widać – niemiecki dobrobyt mu nie wystarczał, bo wymyślił dwie inne cywilizacje, które miały przynieść ludzkości szczęście. A więc science fiction? Tak, ale z silnym podtekstem politycznym.

Kiedy kraje, a właściwie poszczególne narody – czytamy – zaczęły coraz krytyczniej patrzeć na poczynania brukselskiego dobrodrotoru i elit politycznych w ogóle, w trybie przyspieszonym postanowiono wdrożyć – do tej pory ściśle tajny – program PFDK – Program Formowania Doskonałego Konsumenta (s. 59-60). Bardzo skomplikowane są zasady funkcjonowania ludzi w tym programie – szczegóły w książce – ale efekt osiągnięty. Wszyscy są absolutnie szczęśliwi, a rozlicznym rygorom poddają się bez oporu, ba, z pełnym przekonaniem, że żyją w najlepszym ze światów. Tylko nie nasz bohater. On ciągle tęskni za żoną, dziećmi i przyjacielem Grzesiem. A ponieważ bardzo chce, udaje mu się uciec z tamtej krainy. Na granicy czeka na niego właśnie Grzegorz, który wprowadza go do innego świata.

I znów cytat: *Unia Europejska w pewnym momencie znalazła się na niekończącym się zakręcie, zarówno politycznym, jak i ekonomicznym. Odgórnie narzucona wizja wielonarodowej jedności ekonomicznej i uniwersalnego światopoglądu, będąca tak naprawdę kluczem otwierającym bramy dostępu do rynków zbytu, zaczęła kruszeć pod oporem przede wszystkim narodów, którym smak dyktatów i przymusowego podporządkowania znany był z niedalekiej przeszłości (s. 111). Tym razem nie gremia decyzyjne wskazały model przemian, ale przedstawiciele społeczeństwa zgłosili inicjatywę Wspólnoty Transgranicznej. Władze Unii wyraziły zgodę i tak powstał ustrój społeczny także dający wszystkim szczęście. Nadspodziewanie blisko jest mu do izraelskich kibuców, a może kwitnącego komunizmu, choć takich przykładów życie nie potwierdziło. I znów wszyscy są szczęśliwi oprócz naszego bohatera, który ma tylko jedno pragnienie: wrócić do żony i dzieci.*

Jak historia się skończyła, oczywiście nie wyjawię, choć dostęp do książki nie jest łatwy. Zainteresowanym polecam stronę internetową wydawcy www.lage-mr.de.

Znamienny jest tytuł tej książki, absolutnie metaforyczny: „Zanim skoczysz do rzeki”. W akcji nie ma żadnej rzeki. Ale warto się zastanowić, co może się stać, gdy zaczniemy sztucznie wymyślać normy społeczne i uszczęśliwiać ludzi na siłę.

Wyraźnie polityczna krytyka Unii Europejskiej jest tu tylko pretekstem do zbudowania wizji dwóch nowych światów. Autora zajmują przede wszystkim zasady ich funkcjonowania. No i popuszcza sobie wodze fantazji, buduje struktury, kształtuje nowego człowieka, ale bazując na już odkrytych prawach fizycznych i na realnych wynalazkach. Niby z przy-mrużeniem oka, ale aby na serio przestrzec czytelników przed sztucznie wymyśloną przyszłością.

Marek Ratajczak, „Zanim skoczysz do rzeki”, wyd. LaGe e.K. Paderborn, www.lage-mr.de, 128 s.



Kawiarnie

Kawiarnie odegrały w moim życiu spore znaczenie, a więc Polonia, Paloma, Mocca. To były dobre dla mojego ducha miejsca. Szkoda, już ich dzisiaj nie ma. W młodzieńczych latach chroniłem się w nich ze swoimi wierszami, oczywiście pisanymi ręcznie, które właśnie w porze przedpołudniowej w tych zacisznych kawiarniach poprawiałem, czyli skreślałem coś lub dopisywałem. Na małym stoliku rozkładałem moją papierową pracę, samotność, osvajanie smutku, moje mozolne wchodzenie na górę i upadanie. Zamawiałem kawę. I nad tą kawą oraz kartkami, ulokowany w kącie, spędzałem swoje godziny – dwie lub trzy. Gdy robiło się gwarno, płaciłem za kawę, brałem płaszcz w szatni. Jechałem do domu. Do jednego pokoju z niskim sufitem, z uginającymi się deskami podłogi, szafą, łózkami, trociniakiem, lustrem, małymi okienkami, cienkimi ścianami, które zimą pokrywał szron. Jadłem odgrzany na blasze obiad. Ojciec czytał książkę. Mama, jak to mama, coś zawsze miała do zrobienia w kuchni. Kuchnia, gdy tylko już nie paliło się w piecu zimą, natychmiast zmieniała się w lodownię. I teraz myślę o tym, jak się żyło. Ciężko. Biednie. I gdyby wtedy, jak obecnie, kawiarnie były prywatne, to nie miałbym możności tak spokojnie sobie siedzieć i pisać przy szklance herbaty. Bo właściciel by mi nie pozwolił bez zamawiania czegoś do konsumpcji.

Pisze do mnie

H. J. pisze do mnie zakłopotana o trzeciej w nocy. Czytam rano. Takie piękne słońce, złoto, światło, ciepło, a tyle smutku, beznadziei, szarpania się ze sobą, ciągłych napięć nerwowych, duchowych, które niczego nie wnoszą ani nie wyjaśniają. Odpowiedziałem, że taki jest świat. Coraz mniej ciekawy, bo wyrachowany, bez moralności, sobie na zgrabę, bo ludzie, coraz więcej ludzi, chce żyć już tylko dla pieniędzy. I poza tym nic więcej się nie liczy ani nie znaczy. Nawet ten i ów zastanawia się, czy warto się uśmiechnąć do kogoś, tak po prostu.

Wystawa

Artyście potrzebna jest publiczna prezentacja jego dzieła. Taka konfrontacja rozwija. Na wernisaż malarstwa Adama Bagińskiego przybyło do Biblioteki Norwida (w Zielonej Górze) sporo osób. Artysta ma swoich sympatyków. Sędziwy to, zielonogórski, w późnych latach malarz, ale trzyma się całkiem, całkiem. Miałem okazję powiedzieć na otwarciu kilka słów, więc powiedziałem, ale chyba nie wszystko to, co należało przy takiej okazji. Jakoś poukrywały się myśli, słowa i sprawy do poruszenia. No i mówiłem dość krótko. A jednak kilka osób powiedziało mi potem, że mówiłem tak dobrze. Dziwiło mnie to i pocieszało, że nikt nie zauważył pewnej powierzchowności mojej mowy. Było wino czerwone i białe, do wyboru. Wino zostało szybko wypite. Nie zauważyłem, by obrazy jakoś szczególnie ktoś oglądał, raczej rozmawiano sobie w małych grupkach. Kilka znajomych twarzy. Jedna pani zapytała o cenę wybranego płótna. Artysta wycenił je na dziesięć tysięcy, więc się zaraz wycofała. Potem, będąc w Norwidzie, któregoś następnego dnia, poszedłem jeszcze raz na moment do salki wystawowej. Obrazy wisiały. Była cisza, która nie działała na mnie pozytywnie. Odczułem wielką samotność tych płócien i przejmującą pustkę pomieszczenia.

Film

Z niewidomym pisarzem, Michałem Kaziosem, miałem stały kontakt przez dwadzieścia lat, aż do ostatniego dnia jego życia. Żeby pisać prozę i felietony lub artykuły do czasopism, potrzebował drugiej osoby, której swoje teksty, najpierw ułożone w głowie, w najogólniejszych zarysach, po prostu dyktował. Byłem taką

osobą. To znaczy – sekretarzem literackim. Wiem, ile literackich rzeczy zostało w ten sposób napisanych – felietonów, opowiadań, prozy biograficznej, w ilu wyjazdach do Warszawy, Rybnika i innych miast mu towarzyszyłem, ile razy swoim małym fiatem woziłem Michała do kliniki. To było moje ważne doświadczenie. O Kaziosemie zrobiono film dokumentalny. Wypowiadali się o nim ci, którzy go znali, więc wspominali go i oceniali jego dokonania. Pojawiali się na ekranie w sali obecnie nazwanej imieniem Janusza Koniusza niejedyn raz, snując swoje wypowiedzi. Pojawiłem się i ja. Prawie bym nie zdążył siebie zauważyć, bo zaistniałem tylko na moment. Dosłownie wypowiedziałem jedno zdanie. Poczuję się dziwnie. Tyle lat pracy z człowiekiem, w niełatwym dla mnie czasie... Cóż, wielofunkcyjny R. R. uznał za słuszne, że tyle wystarczy.

Jesień

Wielkie światło przenika przestrzeń listopada. Mgliste dale. Piękne zasnucone. Dużo złota wokoło. Na gruszy szarpie się w tym świetle kilka ostatnich liści. Jedne już skręcone i zbrązowiałe, a inne jeszcze trochę żółte, blade. Drżą. Patrzę tak na nie i myślę, że te liście to ja.

Sen

Śniło się, że odwiedził mnie kolega po piórze. Patrzmy na podłogę, a z tej podłogi wytryskuje strumień wody. Przeszliśmy zaraz do innego pokoju. Następnej nocy, we śnie, miały się sprawy większej wagi. Przypadła mi w nim do serca pewna ze snu dziewczyna, która odwzajemniła się całą sobą. I byłem tak we śnie uniesiony jej obecnością, co czułem jako coś ważnego. Wychodzę potem z jakiejś publicznej salki, a ona, widząc to, ta moja dziewczyna, wchodzi właśnie do tej salki z innym chłopakiem i poznaję od razu, że jest już jego, jemu oddaną, dziewczyną. Odczułem w tym śnie, że teraz nie ma na świecie już nic dla mnie.

U mnie

U mnie nie dzieje się nic nowego, natłok prac mnie stresuje, w domu chłodno, co poezji nie służy. Nie za dobra dla mnie ta jesień. Osiągnąłem sporo minusów życiowych. No, ale tak widać ma być, aż w końcu cienie przejdą. Żeby wyjść z depresyjnego klimatu, chwilami myślę o tym, co dzieje się w ludziach, których naprawdę spotykają różnorakie ciężkie dramaty, klęski prawdziwe, życiowe przegrane, śmierci bliskich, całkowite utraty sensu. I nie mogą, i nie potrafią z tym nic zrobić. Nic. Bo co zrobić, gdy już tylko mur lub puste ręce. A mnie trawi marność egzystencjalna, drobne porażki bolą, małości zniechęcają, arogancja irytuje. Trzeba do tego się przyzwyczaić.

Gra

Starszego mężczyznę zauważyłem w sklepie, gdy kupowałem chleb. Stał w zaułku, gdzie składa się kupony i typuje liczby totołotka. I wygrał pan coś, zagadnąłem. Coś niby odpowiedział, ale nie odpowiedział. I tak wyszliśmy na zewnątrz, ja i on. I mówi do mnie, panie, bo ja w nocy spać nie mogę, jak nie zagram. I to było tyle, co sobie powiedzieliśmy przed sklepem.



NAJLEPIEJ PO LUDZKU

Najnowszy zbiór poezji Elżbiety Skorupskiej-Raczyńskiej „Klucze”, czyli 91. pozycja wydawnicza „Biblioteki Pegaza Lubuskiego”, to książka wielu pytań, egzystencjalnych rozterek i dylematów lub wyborów pomiędzy tym, co „tylko białe i czarne”. Poniekąd analizuje tętno naszej współczesności. Jest zauważalna na pierwszy rzut oka, z powodu kolorowej okładki autorstwa Magdaleny Krzyżaniak, bardzo trafnie oddającej klimat znacznej części wierszy. Zwracam na ten fakt uwagę, bowiem jej bajeczność – powiedziałbym – współbrzmi z zapisanymi w wielu wierszach tęsknotami do łagodności dzieciństwa, zwłaszcza w cyklu „Kawałek raj”, cyt.: „A na mojej starej lipie / swarzą się pszczoły / złotnie i zalotnie / z jaśminu spada gwiazdny pył”. Jakż inny to świat niż ten dookolny, też w wierszach obecny. Zauważę od razu, że w najnowszym zbiorze widać zarazem często stosowaną, własnie nieco przekorną, dziecięcą jakby, tendencję do podejmowania gry brzmieniowej i znaczeniowej, co stwarza dodatkowe napięcia. Tak, słowami można się bawić, wtedy uzyskuje się jakiś efekt. Raz po raz poetka do tego rodzaju chwytów się ucieka i przez to swe wiersze ożywia. Skorupska-Raczyńska jest jednak przede wszystkim poetką trudnej, podszytej filozofią refleksji o poważnych doświadczeniach życiowych, które nie mają wcale prostej poetyckiej wykładni. Dużo w nich odślon, nienacechowanych egzaltacją, co odbieram pozytywnie, dużo wewnętrznego skomplikowania duchowego. Ratuje się wobec takiej sytuacji wchodzeniem na drogę myśli, logicznego namysłu, by rozplątać, analizować różnorakie dylematy, cyt.: „Miotamy się / wśród pytań / o przeszłość przyszłość terażniejszość”. Poetka chce dociec prawdy, jest mocno w tym kierunku zdeterminowana, jednak zaskakująco jej wymiar nie zawsze okazuje się możliwy do objęcia. „Rozmiary czasu” są abstraktami i tajemnicami. Jednak czas odejdzie „całkiem realnie / i bez miary”. Jedyne więc rzeczy codzienne go mierzą, mówią coś o nim, jak np. „buty wystawiane na zmianę”. Taki obraz to dobrze realnością umotywowana konkluzja. Trochę właśnie szkoda, że poetka rezygnuje w opisie rzeczywistości z odwoływania się do znaczeń sensualnych i obrazowych. Cóż, taka jej osobowość, takie uniwersalistyczne nastawienie. Każdy wiersz dla niej to przejście jakiejś ścieżki refleksji, by sformułować uogólniającą refleksję. Chodzi przecież o to, by dotkliwie przeżyć lub przemyśleć, a zarazem jego negatywną lub skomplikowaną treść, koniecznie starać się zneutralizować, co jest ważne dla podmiotowego funkcjonowania. Sprawy i doświadczenia domagają się otwarcia, rozwikłania. Zrelatywizowania własną miarą. Słowa, które to czynią, można wtedy nazwać kluczami. Definiuje je następująco: „chłószczą łamią / tną trzeszczą targają”. Nic tu nie dzieje się bez wysiłku i walki, i bez ceny wewnętrznie płaczonej. W jakimś stopniu „się świat / rozwrzosi rozplómi / rozpachni sadem”. Niby to niedużo, namiastka, ale o namiastkę też chodzi w staraniach słowa. Wzmiankowana wyżej gra słowna jest także przydatna. Z jednej strony wzmacnia znaczenie jakiegoś sensu, np. gdy chodzi o pokreślenie pozytywności istnienia. Natomiast w utworach o ciemniejszej tonacji, gdzie samotność, obcość świata, niepokoję i kryzysy wchodzą w obszary poetyckich dyskursów, wtedy gry słowne stępują ich ostrze. Podmiot w ten sposób siebie osłania. Zdobywa do siebie i do wielu spraw ważny dystans. To, co jest kłopotem, co nawet boli, już widzi się inaczej, jako jedną ze składowych rzeczywistości, a nie jedyną rzeczywistość. Wtedy pomiędzy wieloma możliwościami można dokonać wyboru. Możliwa jest intelektualna, precyzyjna analiza. Mimo



skomplikowania egzystencji można sformułować podmiotowe wnioski, punkty widzenia, osobiste prawdy, dające oparcie. Widać przy tym, że poetka stara się oszczędnie, bez ujawniania silnych emocji, mówić o zagadnieniach życia. To znak dojrzałości twórczej. Życie jest główną treścią jej poezji. Strofy nie są rozległe, a wersy złożone zaledwie z dwóch, trzech słów. Można się zastanowić, czy tej oszczędności wyrazu tu nawet nie za dużo? Oczywiście celem jest wyrazistość. Problemy są z tego powodu precyzyjnie wypunktowane, anizeli wielosłowne

egzemplifikowane, rozpisywane. Podstawą tej poetyki jest więc dyscyplina słowna, by nie dać się zwieść na pobocza, ale iść swoim głównym tropem. Na życie w ten sposób można łatwiej spojrzeć z wielu stron. A jest ich przecież, jak w każdym ludzkim życiu, sporo – osobista, społeczna, duchowa, moralna, polityczna również. To sfery do ciągłego rozpoznawania i wyboru racji. Świat się skomplikował. Częściej jednostkowo przychodzi nam decydować anizeli kiedyś. Częściej pojawia się niepewność. Jak w wierszu „Znowu” podmiot sytuuje się „pomiędzy mam a nie mam” itp. Więcej wtedy spada na jego głowę. W tych wierszach, ułożonych w cykle, odsłania się twarz współczesności, wyposażona w niepokoję, zwątpienia, kryzysy, różnorodność i sprzeczności. Na tej linii układane są te wiersze. Jedną z linii jest ważna linia metafizycznego dyskursu („Dokąd”). Nie ucieka poetka w łatwe azyle, deklaracje, ostracyzmy ani w epatowanie obsesjami, które niczego by nie wносиły. Bywa różne życie i różnie bywa w życiu, któremu trzeba podołać i oddać sprawiedliwość. „Przed tobą lustro / już ślepe na tu i teraz / jakby w nie zajrzała / A miało być / inaczej”. Tego „inaczej” naiwnie spodziewaliśmy się. Poniekąd stajemy się bezradni, bezsilni, lecz nie do końca. Owszem, wobec biologii, losu, biegu historii. Życie pozornie niewielkiej sprawie służy. Na pytanie „po co” można za poetką odpowiedzieć, że „jest tylko po to / by je przeżyć / Najlepiej po ludzku”. To „po ludzku” wcale nie jest minimalistycznie nacechowaną miarą. W niej właśnie wszystko, co najważniejsze, w odniesieniu do pojedynczego człowieka i świata się rozstrzyga. Niepowstrzymana podłość i staranie o szlachetność.

Elżbieta Skorupska-Raczyńska, „Klucze”, Gorzów Wlkp. 2018, „Biblioteka Pegaza Lubuskiego” nr 91, 68 s.



Promocja „Kluczy” autorstwa p. rektor prof. Elżbiety Skorupskiej-Raczyńskiej w Bibliotece Akademii Jakuba z Paradyża

Gąsior: „Trochę za szybko zszedłem z kolan mamy”

TO PRZYCHODZI Z WIEKIEM

Gąsior, czyli Jerzy Gąsiorek, dał nam przed Świętami nowy tom swoich wierszy. Już dziesiąty. Zewnętrznie taki sam jak poprzednie: wąski format, 100 stron z szarą, surową okładką, żadnych ilustracji, żadnych ozdób. Tylko wiersze.

*

Wiersze utrzymane w takiej samej formule jak w poprzednich tomach: notatki z codzienności. Czasami są to refleksje związane z jakimś zdarzeniem, ale coraz częściej autor zapisuje tu przemyślenia o swoim życiu, rodzinie, przyjaciółach. Wraca do dzieciństwa, zastanawia się, dlaczego czas tak szybko płynie. Oto tytułowy wiersz z tego tomu:

*Trochę za szybko
zszedłem z kolan mamy
przestałem się bawić
bujanym konikiem
trochę za szybko wyrosłem
z komunijnego ubranka
za szybko zdałem egzamin dojrzałości
wewnątrz wszak
długo byłem chłopcem
biegającym za latawcem
trochę za szybko
pojąłem żonę
spłodziłem synów
i dom zbudowałem
w drzew otoczeniu*

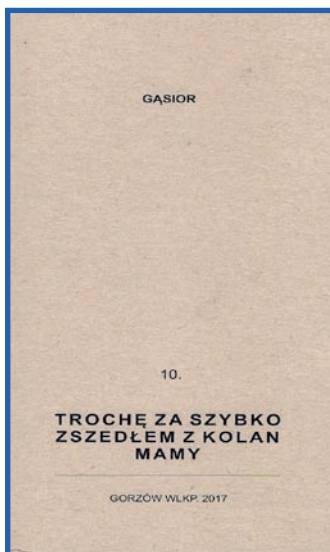
*trochę za szybko
przyszła starość
tak wiele jeszcze
chciałem zrobić*

Chyba wszyscy myślimy podobnie, sami sobie wydajemy się młodszy, jeszcze niegotowi na kolejno: samodzielność, małżeństwo, dzieci, potem starość. Tylko czas płynie, nie zważając na nasze do niego przystosowanie.

*

Tematem wiersza może być dla Gąsiora także zdarzenie codzienne. Jak w wierszu „W przedziale”:

*Dzień dobry mówię
wchodząc do przedziału
jedna osoba skinęła głową
pozostałych czworo
nie zareagowało
nie widzieli, nie słyszeli
ze słuchawkami na uszach
wzrokiem utkwionym w ekranik
laptopa
ja jeden książkę wyjąłem
dziwnie się czułem*



Sytuacja zwyczajna, codzienna, a przecież rodząca wiele refleksji: o wyższości techniki nad relacjami między ludźmi, o zatracie więzi, a nawet o tym, że wyjątkiem staje się odpowiedź na „dzień dobry”.

*

Gąsior datuje większość wierszy, co pozwala śledzić różnorodność impulsów do ich napisania i do refleksji: 9.01.2017 – Wiadomość, że kuzynowi urodziła się córka Helena Światały. 108 lat wcześniej urodziła się matka autora, także Helena Światały (*nie wiem, ile mierzyła / ile ważyła / wiem, że była wielka*), 11.01.2017 – Zmarł Jan Muszyński / niezwykła postać (...), 12.01.2017 – Krótki, przejmujący wiersz z okazji urodzin żony, z którą 45 lat razem, ale dalej, że ona walczy z rakiem, a jedyną nadzieją w Bogu,

15.01.2017 – Myśli po obejrzeniu filmu „Powidoki”, podziw dla głównego bohatera – artysty Władysława Strzeмиńskiego i zestawienie: – *byłem wtedy dzieckiem / nic nie wiedziałem / o tragedii profesora z Łodzi / którego zaszczuła komuna*. 17.01.2017 – *Dziś moje urodziny / siedemdziesiąte szóste (...)*. I refleksja: *od spraw wielkich, że za mało czynów, aż do książek, których już się nie przeczyta, ani ubrań nie znosi*.

Taki jest ten pamiętnik zdarzeń i myśli Gąsiora. Różnorodnych myśli, ale każdy z nas pewnie podpisze się pod wszystkimi, bo nie są one odkrywcze, ale bardzo celne. Gąsior nie obudowuje swoich refleksji metaforami, nie szuka zaskakujących epitetów. W ogólnie nie buduje żadnych figur stylistycznych. Jego zdaniem wystarczą myśli, aby wykazać własne człowieczeństwo. I artystyczną duszę.

*

Sumę myśli zawarł autor w wierszu „Z wiekiem”:

*Coraz więcej zdziwienia
otaczającym mnie światem
więcej empatii miłości
do braci siostr mniejszych
coraz więcej radości
z wędrujących obłoków
falującego zboża
kukającego ptaka
skrzeku żurawia
przelotu bociana*

*kiedyś nie było to
aż tak ważne
to przychodzi z wiekiem*

Gąsior, „Trochę za szybko zszedłem z kolan mamy”, Gorzów 2017, wyd. Drukarnia „Sonar”, 100 s. Na końcu książki biogram Jerzego Gąsiorka (Gąsiora) oraz adresy do kontaktów: tel. 663 559 050, e-mail gasior68@wp.pl

„Listy do praprawnuka”

Drodzy Czytelnicy,
z wielką przyjemnością przypada mi przedstawić Państwu kolejną pozycję wydawniczą Wojewódzkiej i Miejskiej Biblioteki Publicznej im. Zbigniewa Herberta w Gorzowie Wielkopolskim. Jako nowemu, z nieco ponadpółrocznym stażem, dyrektorowi tej szacownej instytucji kultury przypada mi napisać mój pierwszy wstęp do książki o charakterze literackim. Kolejne losy sprawiły, że Jerzy Gąsiorek jest mi dobrze znanym artystą. Pewnie sam o sobie tak by nie powiedział, użyłby sformułowania: rzemieślnik. Było mi dane tłumaczyć w ramach warsztatów ze studentami jego wiersze na język niemiecki, stąd też rozbraiałem je na najdrobniejsze cząstki, aby oddać to, co autor chciał przekazać. Miałem też przyjemność odbyć niejedną krótką podróż do inspirujących miejsc; dodam, że Gąsiorek to nie tylko ciekawy autor, ale też wspaniały kompan do podróży; oszczędny jest nie tylko w słowie pisanim, ale też i mówionym. Z takimi przyjaciółmi podróże są ogromną przyjemnością.

„Listy do praprawnuka” to w dużej części historia, z którą mogą utożsamiać się mieszkańcy ziem zachodnich Polski. Jest to historia migranta, używając dzisiejszego określenia, małego chłopca, który bardzo uważnie przygląda się swojemu otoczeniu, ma dar dostrzegania i zapamiętywania wielu szczegółów miejsc, do których przybywa. W odróżnieniu od tych wszystkich, którzy przesiadali się z przymusu, autor listów zmieniał miejsca zamieszkania w związku z charakterem pracy ojca – kolejarza; nie odczuwał z tego powodu lęku czy niepewności, wręcz przeciwnie Gąsiorek zabiera nas w podróż do swojego dzieciństwa przepełnionego ciekawością świata. Nawet wytrzymałość cienkiej tafli lodu na jeziorze musi zostać poddana badaniu stopami kilkuletniego chłopca. Ten czas miniony – jak sam autor określa – jest przedstawiony w sposób bardzo oszczędny, brak tu miejsca na rozwlekłe opisy. Gąsiorek używa raczej konkretnych szkiców kreślonych grubym ołówkiem, nie ubarwia, skąpo komentuje. W tak naszkicowanym tekście przedstawia na pierwszym planie ludzi i przedmioty, które ich otaczają, czasem zapachy i smaki, które pozostały w pamięci. Czytając listy, można domyślać się, że autor to rzeźbiarz, widzi dokładnie figury, kształty i przypomina nam o wielu przedmiotach, które „przecież nie tak dawno” – tu znów często pojawiający się komentarz autora do przemijania – towarzyszyły nam w codziennym życiu. Gąsiorek dostrzega to abstrakcyjne zjawisko, jakim jest czas, w konkretnych obrazach, a sceny te rysuje ze stoickim spokojem i afirmacją życia.

Autor „Listów do praprawnuka” pisze też o czasach teraźniejszych, których jest pilnym obserwatorem, i nie szczędzi gorzkich słów krytyki pod adresem tych, którzy mają wpływ na losy świata. Wciąż dziwi się naturze człowieka – „człowiek to geniusz i kanalia”, jak sam cytuje w jednym ze swoich wcześniejszych wierszy. Tutaj słyhać z kolei Gąsiorka – kaznodzieję, który przecież część swego życia spędził na naukach w seminarium duchownym, przygotowując się do tej roli. Przesłanie „Listów”? Czy tylko dla praprawnuka? Odczytuję w nich – mimo krytyki wielu poczynań ludzkich – nieustanny zachwyt autora nad człowiekiem; nawet kiedy pisze, że człowiek to kanalia. Jednak spora część listów jest o ludziach, których autor spotkał w swoim życiu, również o tych, których minął (Niemcy, którzy opuścili dom w Sławnie), a każdy napotkany człowiek jest dla niego przystoją, która go wzbogaca.

„Listy” to również tekst o ciągłej chęci odkrywania świata, i o tym, że młodość to stan ducha.

Sławomir Szenwald

Gorzów 29.12.2016 r.

DROGI W!

Na szczęście nie mam bolesnych wspomnień wojennych. Jakieś pojedyncze scenki: duży pokój oddany załodze czterech żołnierzy niemieckich. Pod nieobecność Ojca Mama przy tej stacjonującej grupie czuła się bezpiecznie; pamiętam też wiszącą na małej brzozie przy bramie metalową obręcz koła, w którą uderzano – to sygnał alarmowy, kiedy zanosilo się na naloty. Breslau (dziś Wrocław) leżał zaledwie 80 km od Granowca. Pamiętam przelatujące samoloty (dzieci wołały „Fligier leci”), pamiętam ogrom srebrnych pasków lecących z góry i zaścieniających pobliskie tereny przystajny – to sposób na zagłuszanie radarów, pamiętam sporadyczne zejścia do małej piwniczki, która była pod 1/4 domu, pamiętam też, jak zimą, to był chyba styczeń 45 roku, z lasu od strony Krzyżnego (ze wschodu) wyłoniła się pieszka kolumna żołnierzy radzieckich w grubych kufajkach, szynelach i uszankach. Ponieważ nasz murowany dom stał na skraju i sąsiedował z owym lasem, grupa tych żołnierzy wtoczyła się do naszej izby – kuchni. Mama ugotowała im gar kartofli, zapewne na żądanie. Jeden z żołnierzy z przyjacielskim gestem nałożył mi na głowę swoją ciepłą, dużą uszankę... To wszystko obrazy mgliste, ułomne i niebudzące strachu. Starsi zapewne mieli inne odczucia.

W Granowcu mieszkałem do szóstego roku życia. Zdążyłem rozpocząć naukę w pierwszej klasie siedmioklasowej szkoły. Wcześniej krótko chodziłem do tzw. ochronki – tak mówiono na przedszkole.

Dom, wybudowany w 1928 roku przez dziadka, gajowego, był murowany w takim symetrycznym układzie. Nieco z tyłu i z boku była drewniana stodoła kryta strzechą, z jednym tylko sąsikiem. Na klepisku młócono cepami zboże, a z boku stała siewkarnia z dużymi bliźniaczymi kołami. Od strony frontu, przy samej drodze, murowana obórka z drewnianą górą. Nie mieliśmy dużego gospodarstwa, ale – jak większość – małe pola (Siefel i Krzyżne) i duży ogród z wiśniami, jabłonią i porzeczkami. We wspomnianej obórce krowa (czerwona), wołano na nią Zuzia; była też przez pewien czas koza, jakieś świnki i jak w większości gospodarstw kury, gęsi i króliki.

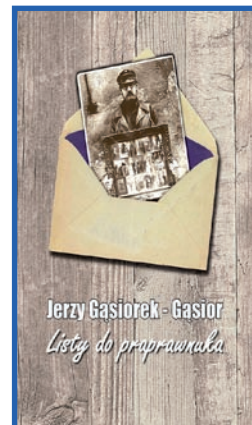
Wodę czerpaliliśmy ze studni, a woda w niej krystalicznie czysta i zimna. O zimno po tylu latach żuraw do dzisiaj stoi, choć nikt już ze studni wody nie czerpie.

Płoty sztachetowe, przy nich lipy i brzozy. To było urokliwe miejsce. Tak chyba odbierają otoczenie wszystkie dzieci, bezpieczne, przy rodzicach, w miarę zdrowe i niegłodne. Świat zabawek, w porównaniu z dzisiejszym, żaden. Piłka, hulajnoga, bączek popędzany bacikiem, zabawa w konie (dwoje lub troje dzieci), klasy, skakanka, szmaciana lalka, ołowiane żołnierzyki. Kolejka to już szczyt marzeń, podobnie jak rowerek.

Ja wchodziłem w świat rysowania: domki, zaprzęg krowi (sic!) lub konny ciągnący wóz z sianem, pasące się krowy, biegające gęsi i kury, świat, który obserwowałem i który przenośliem na papier. Tego nie było pod dostatkiem, podobnie jak kredek. Pamiętam, że rysowałem na marginesach gazet, jakichś druków, najczęściej zwykłym ołówkiem.

Latem biegaliśmy wyłącznie boso, piasek parzył stopy. Po deszczu, po kałużach, macerowaliśmy stopami „błocko”. Za płotem były tzw. „grząbki” – piaszczysty nieużytek z rdestem i piołunem – wspaniały plac zabaw. Na skraju nieużytku stał drewniany krzyż, pod którym śpiewano pieśni maryjne i wielkopostne. (...)

Jerzy



PAPUSZA NIE DO CZYTANIA a bardzo ważna

„Co takiego jest w twórczości Bronisławy Wajs, czyli Papuszy, że zainteresowanie nią rośnie nie tylko w Polsce, ale i w wielu krajach?” – pyta Sławomir Szenwald, dyrektor Wojewódzkiej i Miejskiej Biblioteki Publicznej w przedmowie do najnowszej książki wydanej przez jego Bibliotekę.

Jednak nowa książka o Papuszy nie zawiera rozważań nad fenomenem rosnącej popularności poetki, a jest czwartym z kolei „Zestawem bibliograficznym” wydanym w serii „Lubuska Bibliografia Regionalna”. Wcześniej wydano zestawy poświęcone Kazimierzowi Furmanowi, Zdzisławowi Morawskiemu i Włodzimierzowi Korsakowi.

Najnowsza bibliografia Papuszy jest najobszerniejsza, liczy 246 stron i obejmuje 1121 pozycji, niektóre bardzo rozbudowane. We wstępie czytamy: „Bibliografia ma charakter podmiotowo-przedmiotowy, a w związku z bogactwem materiału poświęconego Papuszy – również selekcyjny. Zasięgiem chronologicznym obejmuje publikacje, które ukazały się od momentu debiutu poetki wierszem »Pieśń Cyganki« w »Twórczości«, czyli od 1951 roku, do końca pierwszego kwartału roku 2018. Natomiast zasięg językowy, terytorialny i formalny są nieograniczone”.

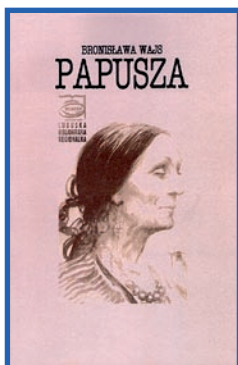
Część pierwsza obejmuje twórczość poetki opublikowaną w autorskich książkach i nagraniach (11 pozycji) oraz na łamach prasy i w innych formach (338 pozycji). Część druga to zestawienie opracowań: w formie zwartej (7 pozycji) oraz artykułów i innych form wypowiedzi (407 pozycji). Część trzecia wypełniają formy kultu poetki w literaturze, muzyce, sztuce, filmie, tablice i pomniki, konkursy poetyckie, sesje i konferencje naukowe, a także Sala Papuszy w gorzowskiej Bibliotece (358 pozycji). Książkę kończą indeksy, które bardzo pomagają w poszukiwaniu tego, co czytelnikowi akurat potrzebne.

Bibliografię tę – podobnie jak i poprzednie – opracowały Anna Sokółka i Danuta Zielińska, pracownice Biblioteki. A oznacza to, że dotarły do każdej z zapisanych pozycji, nacznie potwierdziły istnienie publikacji lub nagrania. Nasza biblioteka posiada wiele z wymienionych źródeł, ale trzeba było przeszukać także zasoby innych bibliotek, w tym wielu zagranicznych, oraz bardzo bogate zbiory cyfrowe. Obie panie wykonały potężną a mrówczą robotę.

To nie jest książka do czytania, a jednocześnie to książka niezbędna każdemu, kto zajmuje się naukowo lub po prostu z własnego zainteresowania Papuszą lub szerzej – literaturą cygańską. Dla mnie odkryciem była bardzo długa lista nagród, jakie otrzymał film „Papusza” w reżyserii Krzysztofa Krauzego i Joanny Kos-Krauzę z 2013 roku. Na festiwalach całego świata honorowany był nie tylko cały film, a nagrody dostawali nie tylko reżyserzy, lecz aktorzy, przede wszystkim Zbigniew Walerýs za rolę Dionizego (Dyżka) Wajsa, męża Papuszy. Wiele nagród było także za zdjęcia, scenografię, muzykę, kostiumy.

Wierzę, że najnowsza „Papusza” na pewno pomoże badaczom w odpowiedzi na pytanie postawione w przedmowie przez dyrektora.

„Bronisława Wajs Papusza (17.08.1908-08.02.1987)” – zestaw bibliograficzny, seria Lubuska Bibliografia Regionalna, oprac. Anna Sokółka i Danuta Zielińska, wyd. WiMBP im. Zbigniewa Herberta w Gorzowie Wlkp., 246 s.



OKRUCHY HISTORII ŻYDÓW

Potrzebne były trzy lata, aby przygotować wystawę i wydać jej książkowy katalog „Im Fluss der Zeit / Z biegiem rzeki”. Wystawa prezentowana była najpierw w Berlinie i Wrocławiu, a od 9 listopada można ją było oglądać w holu WiMBP im. Zbigniewa Herberta.

Wystawa i książka opowiadają o dziejach Żydów na polsko-niemieckim pograniczu, czyli wzdłuż rzeki Odry, od czasów najdawniejszych aż po współczesność. Zawsze były to ziemie graniczne, a Żydzi zawsze traktowani byli jako ich mieszkańcy drugiej kategorii. Nawet współcześnie tylko okazjonalnie zajmują się nimi polscy i niemieccy historycy, nie ma żadnej instytucji gromadzącej pamiętki po Żydach żyjących na tym obszarze. Przygotowania wystawy i opracowania książki podjęły się panie Magdalena Gebala i Magdalena Abraham-Diefenbach pracujące w Deutsch Kulturforum Östliches Europa w Poczdamie. Obie świetnie mówią po polsku, co na pewno ułatwiło im poszukiwania po polskiej stronie granicy.

Na wystawę składa się kilkanaście wielkich plansz kolorystycznie wyróżniających kolejne wieki, a na każdej prezentowany jest wybrany temat ważny dla całego obszaru, np. „Drukarstwo hebrajskie”, „Urodzeni nad Odrą”, „Synagoga płonie”, „Żadnego prawa, nigdzie!”. Na tablicach dużo zdjęć lub dokumentów oraz opisy / podpisy po polsku i po niemiecku.

Na okładce płyty nagrobne – macewy – z cmentarza żydowskiego w Słubicach. A oto kilka wypisanych z książki ciekawostek związanych z Gorzowem lub pobliskimi miejscami.

Zacznijmy od Glisna (gm. Lubniewice). W 1818 roku berliński przedsiębiorca transportowy Izrael Mojżesz Henoch kupił majątek w Gliśnie. W sąsiedztwie odkryto źródła lecznicze, więc Henoch-Dorożkarz postanowił w swoich dobrach urządzić kurtort leczniczy z kąpielami błotnymi i rosyjską łaźnią. W pałacu były: sala balowa, jadalnia, salon, pokój do gry w bilard. W parku ustawiono karuzelę i pięknie zagospodarowano cały teren, po jeziorze pływały gondole. Glisno stało się celem wycieczek i pobytów leczniczych mieszkańców Berlina i Frankfurta nad Odrą. Zgodnie z ówczesnym prawem Henoch, jako właściciel ziemski, był zobowiązany do utrzymania we wsi kościoła. I dlatego on, Żyd, w 1837 roku ufundował protestanckim mieszkańcom Glisna kościół według projektu cenionego architekta berlińskiego Karla Friedricha Schinkla. Wewnątrz kościoła, na ścianie głównej, wisiał w tym kościele portret Żyda – Izraela Mojżesza Henocha. Niestety, portret zaginął, ale kościół stoi i jest perełką architektoniczną naszego regionu.

Codziennosc życia na pograniczu w XIX-wieku ilustrują zdjęcia i wspomnienia z Pszczewa. Rozdział na temat Nocy Kryształowej z 9 na 10 listopada 1938 roku, kiedy „spontanicznie” niszczone przede wszystkim synagogi, a także sklepy i domy żydowskie, ilustrują zdjęcia Gorzowa i fragment książki Christy Wolf „Wzorce dzieciństwa” o spalonej synagodze.

Te i inne ciekawostki składają się na wielką historię współżycia oraz wzajemnego zwalczania się Żydów i Niemców, a nawet Polaków na ziemiach wzdłuż Odry. Warto poznać ten mało zbadany aspekt naszej historii.

„Im Fluss der Zeit / Z biegiem rzeki – Dzieje Żydów nad Odrą”. Pomysł i kierownictwo projektu – Magdalena Gebala, wyd. Deutsch Kulturforum Östliches Europa w Poczdamie, 96 s.



Jerzy Hajduga: TA CHWILA

już wiem, że długo będzie trwać. 20 listopada 2018 roku zorganizowano mi wieczór autorski w Drezdenku. Wchodzę do biblioteki, a tu tyłu znajomych, że aż musiałem zmienić plan spotkania.

Została tylko mowa o nowej książce z wierszami „Zatrzymać z czasu chwile”. Prowadzący przestał mi zadawać pytania, sam wpadłem w wir spotkania. Rozmieniłem wiersze na dygresje, nastroj liryczny (spotęgowany śpiewem przy gitarze) do bezpośredniej rozmowy.

Udało mi się nie zapomnieć, że przecież jest ze mną Majeczka Kuczara, która ten tomik opracowała graficznie i przy okazji tego spotkania wiszą na ścianie jej zdjęcia.

Nie wiem, czy zabrakło krzesel, ale przy drzwiach niektórzy stali. Często patrzyłem w ich stronę, jakbym jeszcze na kogoś czekał. Nie przyszedł.

Roma Jegor: DOBRA CISZA

Do tworzenia potrzebne jest cierpienie. Podobno Bruno Schulz w „Księdze listów” odpowiada na to stwierdzenie: *To jest stary, utarty schemat – może czasem słuszny – ale (ja) potrzebuję dobrej ciszy, [...], kontemplacyjnego łakomstwa na ciszę.* Właśnie owo „łakomstwo na ciszę” Jerzego Hajdugi jest sprawcą jego najnowszej książki poetyckiej „Zatrzymać z czasu chwile”.

Książka jest niewielka i – ostrożnie napiszę – nieprzeładowana tekstami. Tak chciał Autor. Wybrał ciszę, zmuszając czytelnika do uwagi i kontemplacji. Zamieścił w tomie wiersze króciutkie, zaledwie trzywersowe. Jakby to była oszczędność w zarządzaniu emocjami, pozwalanie sobie tylko na parę istotnych słów, odcedzonych z chaosu „całej reszty”. Te pozostawione nie mącą, potrzebnej Autorowi i czytelnikowi, „dobrej ciszy”, w której każde słowo jest ważne, uważne, cenne, po to, by wiersz był jak kropla albo westchnienie. I nie jest istotne, że są one (te wiersze) bardzo osobiste, bo przecież zawierają treści dotyczące większości z nas.



Bieg
*jeszcze coś chciałbym
mieć z dziecka
pamiętam*

Sam
*uczę się wieczorów
od rana zapalam
nocną lampkę*

Czasami słowo
*brzmi jak łapówka
i ty milczysz
i ja*

Poza wszystkim wiersze z nowej książki Jerzego Hajdugi czytać się dają na wiele sposobów. W swojej wymowie są i laickie, i „wierzące”.

Nie może być inaczej, skoro Autor jest księdzem. Jeśli więc chcemy znaleźć w tych wierszach człowieka – z jego samotnością, zmęczeniem, wspomnieniami i miłością – to go znajdziemy. A jeżeli człowieka oddanego Bogu – z jego samotnością, zmęczeniem, wspomnieniami i miłością – to znajdziemy go tam także.

Pierwszy cud
*Z tobą zamienię wodę
w wino na każdym
weselu*

Po rekolekcjach
*grzech odkrywa mnie
nocą sam poprawi
poduszkę*

Zapalam światło
*na wyciągnięcie ręki
mam nocną lampkę
i ciebie*

Od czytelnika zależy, którą drogą poprowadzą go wiersze Jerzego Hajdugi z tomiku „Zatrzymać z czasu chwile”. Wiersze jak westchnienie albo kropla, która draży w ciszy. Tej dobrej i tej bardziej cichej.

NA BOŻE NARODZENIE

*wszystkie krzesła zajęte
każde miejsce przy stole*

*w kącie już tylko dla mnie
układam kolędę pod choinkę*

*słowo po słowie cichnie śpiew
jeszcze ciszej zimny piec*

NA NOWY ROK

*daj spokój milczeniu
które się odezwało
przecież potrafisz*

JERZY HAJDUGA



Leszek Żuliński PARSZYWE, TRUDNE ŻYCIE

Uwaga, debiut!

Cytuję notkę o autorze: Marek Stachowiak (ur. 1963) laureat wielu konkursów poetyckich, m.in. nagrody głównej na VI Ogólnopolskim Festiwalu Poetyckim im. Wandy Karczewskiej w Kaliszu 2016. „Tata jest od tego” to debiut książkowy autora...

Marek mieszka nieopodal Gorzowa, widywałem go na co najmniej kilku imprezach poetyckich, a teraz dziwię się, że tak długo „majstrował” ten tomik. Ale i dobrze. Późne debiuty zaawansowanych poetów bywają zazwyczaj udane.

No i z czymś takim mamy akurat do czynienia. Tomik podzielony jest na pięć rozdziałów: „Zajścia fizjologiczno-refleksyjne”, „Za(e)jścia śmiertelnie poważne”, „Zajścia z narodem”, „Zajścia metafizyczne”, „Zajścia wiążące”. W sumie wierszy nie za wiele, bo tylko 28. Wystarczy!, bo to są wiersze „gęste”, często „rozbudowane”, ale mające wiele do powiedzenia.

Tytuł tomiku jest – przyznacie – intrygujący. Od czego jest Tata? Hm, sami przeczytajcie ten wiersz niemałego rozmiaru:

Tato piszesz na serwetce? A mieliśmy pogadać! / Przepraszam synku ja właśnie o tym / że jestem od tego by podtrzymać twoją rękę / kiedy w hipermarkecie wyslizgujesz marmur / lub gdy przeskakujesz rozproszone po deszczu nieba. / I on wielki nie może tobie szorstko odpowiedzieć. // Bo tata jest od tego żeby nawet na ruchomych schodach / umieć się z tobą spierać o glutaminian sodu z dużej / paczki chipsów ale już w sklepie wziąć z półki / pomniejszoną o kompromis. W pizzerii miękko zwrócić / uwagę że z ice tea nie uda się wypuścić słomką baniek. // Bo tata jest od tego żeby rozpoznać gdy za twoimi plecami / telewizja bez fonii wikła news i poganianych kolbami / mógłbyś za uczestników zabawy w jedzie pociąg. / A potem zobaczyć jak się ich układa na pustyni w kolejowe / podkłady którymi wstrząsa przejazd złowrogiego widma / i z powrotem zabiera do prochu. // Bo tata jest od tego byś się wtedy nie odwrócił. / Zna twoja dorosłość i pyta o sosy ulubione dodatki. / O kolegów z nowej szkoły. Czy dogadujesz się z mamą? / Widujesz starszych braci. O gry u ciebie na topie. / A gdy oznajmiasz – „Mam fajną strzelankę na tablet”. / To choć zabijasz w niej tylko na niby i tych złych. / Tata jest od tego by się z tym nie godzić a jeśli trzeba / zapisać serwetkę tobie na jutro.

Niby prosta rozmowa ojca z synem. Ale w niej dziwny, smutny świat, nad którym wisi także zbrodnia. Innymi słowy powolne tłumaczenie parszywości tego świata i delikatne wprowadzanie syna w sprawę trudne.

Cały ten tomik jest rozprasaniem dobrych nadziei; on niesie przekaz świata parszywego i życia trudnego.

Oto inny wiersz, pt. *Narcyzytyczne a może?: A może z niedzieli na poniedziałek półleżąc / zdobywasz się na szczerość. Pytasz sam siebie / jak można ocalić takie zero. I skąd się wokół biorą zastępy / pożytecznych idiotów.*



A każdy poranek jest potyczką / z nagą prawdą. Puszczasz wiatry oddajesz mocz stolec / i gdybyś spojrział zobaczyłbyś jak woda splukuje / zwierza zanim weźmiesz prysznic co nieco zjesz / umyjesz zęby włożysz koszulę garnitur krawat / bądź sukienkę garsonkę żakiecik i stosowne do płci / w ramach lustra utrwalisz w sobie pewność i profesjonalizm / a to że nikomu nie odpuszczisz podkreśli zapach znanej marki. / Mijane po drodze witryny potwierdzają ostrość twojego / przekazu aż zabolą cię palce od dorastania do własnej wysokości. / I będziesz drżał że ktoś cię zapyta.

Tak, tak, Drogi Czytelniku... Czasy Arkadii skończyły się (czy kiedykolwiek zresztą były?). Nie wiem, jak długo i od kiedy Marek pisał te wiersze. Ale one wpisują się w aureę obecnych lat.

*

Trudno recenzuje mi się tę książkę. Po pierwsze: kłopot z cytowaniem... Stachowiak większość tych wierszy pisze bardzo szeroką frazą i sporo ich to dosyć sążniste teksty. Po drugie, są to teksty „gęste”, tzn. trzeba uważnie je czytać i rozumieć. Cymes w tym, że autor jest od początku do końca konsekwentny, a więc tomik sam w sobie dosyć oryginalny. To jest po prostu osobliwa dykcja, którą trudno byłoby porównywać do wszelkiej poezji zastanej. To zawsze liczy się w literaturze jako novum.

Tak czy owak najważniejsze jest to, jak Marek widzi i przeżywa obecny w sobie stres istnienia. Mroczny, daleki od jakiegokolwiek eudajmonizmu. Czy takie mamy czasy? Moim zdaniem – tak! Nazwałbym te wiersze „reportażem niezgody”. Niezgody na wszelkie zawiłości i nieprzychylności, jakie często przeżywamy (zwłaszcza w obecnej dobie).

Użyłem gdzieś wyżej słowa „Arkadia”. Zapomnijcie to słowo! Nie tu i nie teraz. Tak więc w tym tomiku zmierzamy się nie tylko z nową dykcją, ale również – i przede wszystkim – z nowym czasem. Nie jest to łatwe...

W jednym z wierszy znajduję taki oto wywód:

Boję się Chrystusa ran zaklinanych / przez ludzi o przerośniętej nacji. Boję się ich kodyfikowanych racji / ich dobra z za płotu z drutu polotem górnołotnym aż do granic. / Boję się oficjalnej przyzwoitości. Ich darów z brezentu który maskuje / pot płacz i lament. Boję się zamianowanych na kustoszy pokoju / ekspertów od hartu w ogniu wojen ich komitewy z ogrodnikami / ustawionymi w szpaler pod urojone drzewo wolności.

Marku, ja też się boję...

Marek Stachowiak, „Tata jest od tego”, wyd. Tercja.com, Poznań – Gorzów Wlkp. 2018, 48 s.

Leszek Żuliński GRAŁ JAK PAGANINI...

...no więc wróciłem z Gorzowa Wielkopolskiego... Oj, działo się, działo! Kilka dni – od rana do wieczora – pełne różnorodnych zdarzeń. Bo ta impreza jest wielowarsztatowa. Biorą w niej udział poeci, malarze, piosenkarze... A rewelacyjny muzyk **Jarosław Mielczarek** grał jak Paganini (tyle że na gitarze). Dzięki temu o nudzie nie ma mowy, a poszczególne grupy mają czas na prezentowanie swoich działań. Dlatego gęsto jest od kularowych rozmów, a więc, wszystko tętni sztuką.

Podziwiam **Krystę Woźniak** i **Czesława Gandę** za ich 16. już organizowanie tych spotkań. Wszystko zapięte na ostatni guzik, wszystko utrzymane w żwawym rytmie.

Absolutna większość uczestników to „artyści nieprofesjonalni”, którym jednak nie można odmówić talentu. Ja i Marek Wawrzkiwicz, którzy „prowadziliśmy” grupę literacką, byliśmy zaskoczeni zapalem i umiejętnościami tych osób. Malarze też mieli znakomitego „profesora”.

Jeden dzień spędziliśmy w Zielonej Górze. Oj, tam dopisała publiczność i widać było zaangażowanie w nasze artystyczne hobby. Aż chce się dalej tworzyć, bo jednak okazuje się, że takie prezentacje syca potrzebę kultury.



Dla mnie już nie po raz pierwszy absolutnym zjawiskiem pozostaje **Marzena Szumlańska-Sron**, która śpiewa jak Edith Piaff, ale pokazały się też dwie młode piosenkarki, które ja już uważam za rewelacyjne.

(Fragment z blogu „Jestem w rozjazdach”)

AKTYWNIE I TWÓRCZO

XXXVI Interdyscyplinarne Warsztaty Artystyczne odbywały się w Gorzowie Wlkp. od 8 do 12 listopada 2018 r. Czas warsztatów zbiegł się z setną rocznicą odzyskania przez Polskę niepodległości i ich tematyka wpisała się w obchody tego wydarzenia. Organizatorem warsztatów było **Robotnicze Stowarzyszenie Twórców Kultury** w Gorzowie przy ścisłej współpracy z gorzowskim i zielonogórskim Uniwersytetami Trzeciego Wieku. Nad całością czuwali prezes RSTK Czesław Ganda oraz jego prawa ręka Krystyna Woźniak. Przyjechali na nie uczestnicy z różnych stron Polski, a także z Niemiec i Holandii, by szlifować swoje umiejętności w sekcjach: literackiej, plastycznej, muzycznej i fotograficzno-filmowej.

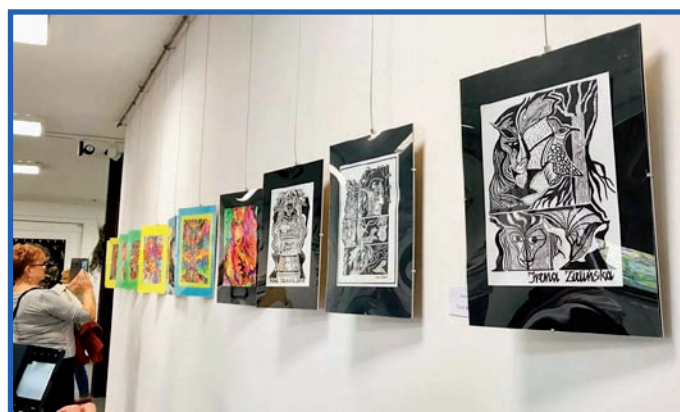
Grupa literacka odbyła spotkania z konsultantami, którymi byli prezes Zarządu Głównego Związku Literatów Polskich **Marek Wawrzkiwicz** oraz **Leszek Żuliński**. Poeci czytali swoje utwory, a następnie krótko je omawiano. Konsultacje zakończyły się apelem: piszcie krótko i bez banałów, szukajcie ciekawych skojarzeń, starajcie się bardziej zaskakiwać czytelnika, unikajcie tzw. „smrodku dydaktycznego”. Poeci prezentowali swoje utwory podczas Nocy Poetów w Gorzowie, wieczoru artystycznego w Zielonej Górze, mszy w kościele Podwyższenia Krzyża Świętego i biesiady finałowej. Był także konkurs poetycki na wiersz o Gorzowie. Trzy równorzędne nagrody dostały: Alina Kruk, Krystyna Woźniak i Maria Żywicka-Luckner.

Krystyna Dziewiałtowska-Gintowt

Gorzowski Witkacy na wystawie w Słupsku

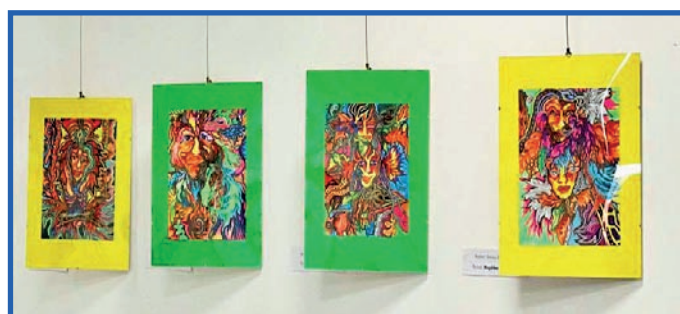
„Witkuś jesienny” – obraz **Ireny Ziełińskiej** – poetki i malarki z Gorzowa na wystawie Konkursu im. Witkacego w Słupsku.

Poniżej ściany poświęcone malarstwu i grafice Ireny Ziełińskiej na Wystawie Konkursowej w Słupsku.



Słupsk słynie z największej na świecie kolekcji dzieł Witkacego (ponad 260 obrazów, archiwalia, pierwodruki i fotografie). Chociaż artysta nigdy w tym mieście nie przebywał, jest w nim obecny niemal namacalnie i to z każdym rokiem bardziej. Jednym z przejawów tej obecności jest doroczny, organizowany we wrześniu, **Ogólnopolski Konkurs Interpretacji Dzieł Stanisława Ignacego Witkiewicza „Witkacy pod strzechy”**. Główną zasadą konkursu jest rozwijanie kreatywności, brak ograniczeń dla formy wypowiedzi oraz dla wieku uczestników. Równie cenne są prace plastyczne, monodramy, recytacje (co ślina-do-gęby-przyniesizm), fotografie, teksty śpiewane, instalacje, happeningi, performance i co tam jeszcze do głowy przyjdzie może, pod jednym warunkiem – wszystko to musi powstać z własnych przemyśleń inspirowanych dorobkiem Witkacego. W roku 2018 konkurs odbywał się już po raz dwudziesty pierwszy, absolutnie wyjątkowo nie w rocznicę śmierci Witkiewicza, tylko miesiąc później. **Jedną z laureatek została gorzowianka Irena Zielińska, uhonorowana „za wyjątkowo poruszające i barwne prace oraz monochromatyczne exlibrisy”, a Nagrodę Dyrektora Muzeum Pomorza Środkowego w Słupsku otrzymał za swą „ciepłą obecność” wybitny witkacolog, również mieszkaniec naszego miasta, Włodzimierz Mirski.**

W wystawie wzięła udział gorzowska grupa przyjaciół laureatów, wśród nich: Maria Gonta (tekst) i Barbara Schroeder (zdjęcia).



JESIEŃ – ZIMA 2018



Pegaz Lubuski po raz trzeci w 2018 roku 28 września, WiMBP

Gościem honorowym promocji numeru był poeta z Zielonej Góry **Czesław**

Sobkowiak, który na łamach „Pegaza” pisał o poezji m.in. **Zdzisława Morawskiego**, **Władysława Łazuki**, **Ireneusza K. Szmida**, także recenzje i felietony. Tym razem było to spotkanie z nim jako autorem wierszy, jako że ukazała się jego 17. książka pt. **„Jedno miejsce”**. Tak o niej powiedział autor: *Jest inna od poprzednich. Zawiera spojrzenie z dystansu na życie, na sprawy kultury. To moja traktatowa próba rozliczenia się z duchem naszej epoki.* W „Pegazie” znajduje się recenzja tej książki autorstwa **Anny Dominiak**. Ona prowadziła spotkanie z autorem. Według recenzentki wiersze Sobkowiaka to poematy o odchodzeniu, o pustoszeniu życia. I stąd płynie dużo pesymizmu. W odpowiedzi usłyszeliśmy: *Każdy poeta wyraża i porusza krąg własnych doświadczeń. Człowiekowi potrzeba jakiejś metafizyki, aby to co zwyczajnie zobaczyć w innej perspektywie. Młody poeta pisze wrażeniowo, potem wszystko się zmienia.* Czesław Sobkowiak pisze równoległe poezję i prozę. Nie stara się rozdzielać swojego pisania. Powiedział jeszcze: *Nie wchodzę w buty typowego prozaika, piszę raczej*



eseje. W jego prozie znajduje się dużo refleksji poetyckich. Jedną z jego inspiracji do pisania jest sztuka. Czesław Sobkowiak swoje autorskie spotkanie zakończył kilkoma utworami muzycznymi na harmonijce ustnej, dedykując je paniom obecnym na sali.

Niespodzianką na promocji było spotkanie się dwóch Sobkowiaków. Drugim był **Mariusz Sobkowiak** z Gorzowa, redaktor naczelny nowego pisma pt. **„LandsbergON”**, magazynu, w którym znajdują się opowiadania science fiction, fantazy i horrory oraz felietony i prace graficzne autorstwa młodych gorzowian. Czasopismo to ma na uwadze odkrywanie talentów.

Szef ZLP **Ireneusz K. Szmidt** mówił o spuściznie po **Zdzisławie Morawskim**, przekazanej w depozyt gorzowskiej Książnicy



przez wdowę po poecie. Prawa autorskie należą do wnuka poety. Teraz depozyt podlega opracowaniu, a **Krystyna Kamińska** poddaje je ocenie krytycznej. Wśród materiałów znajduje się kilka powieści. Jedna z nich dotyczy dawnego Gorzowa, a druga wielkiej pasji poety, żeglarstwa. Rzecz dzieje się na Długim, nad jeziorem Lipie. Wydaniem tej drugiej powieści zainteresowany jest Urząd Miasta w Strzelcach Krajeńskich.

Ponadto **Jerzy Alski** przeczytał swój esej „Czego uczy szkoła”, a Krystyna Kamińska omówiła nowe książki lubuskie. Minutą ciszy uczczono zmarłe panie: **Marię Łozińską**, **Marię Morawską** i **Elżbietę Kuczyńską**.

Promocja tomiku Marka Stachowiaka „Tata jest od tego” 2 października, Klub MCK „Jedynka”

Spotkanie prowadził poeta i reżyser z Drezdenka **Tomasz Walczak**. Na jego pytanie do autora, dlaczego tak późno zdecydował

się na debiut, 50-letni autor odpowiedział: *Chciałem, aby teksty mówiły o czymś ważnym. Aby tworzyły całość, aby była to opowieść. Jestem perfekcjonistą, więc ciągle nie byłem zadowolony i ciągle moje wiersze były na warsztacie.*



Marek Stachowiak do tomiku wybrał 28 wierszy. Tytuł książki subtelnie sugeruje treść, a wiersze delikatnie nakreślają zależności między ojcem a synami, szczególnie najmłodszym. Autor wypowiada się także jako syn w stosunku do swojego ojca, a nawet do Stwórcy. Mówi także o błędach, których w życiu nie udało mu się uniknąć. Twierdzi, że ma duszę okonia: wadzi się i spiera. Nie tylko w poezji. Ceni sobie bycie wątpięcym. Drażni go zbyt pewność siebie. Aby napisać wiersz, musi go coś dotknąć, dać silny impuls. Jego teksty są też o niezgodzie na obecną sytuację w kraju. Uważa, że piszący mają obowiązek zabierać głos, że nie powinni milczeć. Stara się unikać polityki, zajmuje się sprawami ogólnoludzkimi, uniwersalnymi.

Spotkanie odbywało się przy muzyce w wykonaniu Sebastiana Siudy i Kamila Kwiatkowskiego. Była też czytana poezja i kolorowy tort od przyjaciela poetów Jana T. Polakiewicza.

Otwarcie sezonu artystycznego 2018/2019, wręczenie „Motyli” 12 października, Filharmonia Gorzowska

Podczas uroczystości prezydent **Jacek Wójcicki** dokonał przeglądu gorzowskiej kultury w minionym roku i nakreślił cele działań na następny i tym samym sezon artystyczny 2018/2019 został otwarty.

Nagrody Kulturalne Prezydenta Gorzowa – „**Motyle**” otrzymali:

Anna Szymanek-Lange – artystka plastyczka. Debiutowała w 1966 roku, od 1979 roku związana jest z Gorzowem. Uprawiała ceramikę, rysunek i malarstwo. Przez wiele lat była organizatorką plenerów malarzkich i tkackich. Jest założycielką i kuratorką Galerii „Pod Pocztową Trąbką”.

Chór „Cantabile”, który w przyszłym roku będzie obchodzić 25-lecie swojego istnienia





i koncertowania. Od początku dyrygentką chóru jest **Jadwiga Kos**.

Chór bierze udział w różnych imprezach w Gorzowie, w kraju i za granicą.

Laureaci otrzymali nagrodę pieniężną i statuetkę autorstwa artysty Andrzeja Moskaluka.

Podczas uroczystości wręczono także medale: Srebrny Medal „Gloria Artis” otrzymał dr Tadeusz Szczurek, a medale Zasłużony dla Kultury: Juliusz Piechocki, artysta malarz, oraz muzycy: Przemysław Raminiak i Błażej Król. W części artystycznej, w specjalnie przygotowanym koncercie, wystąpili Adam Bałdych – skrzypce i Przemysław Raminiak – fortepian.

X Ogólnopolski Festiwal Monodramów i Teatrów Małych Form „Bamberka 2018” 12-13 października, Miejskie Centrum Kultury

W Festiwalu zaprezentowało się dziesięć spektakli. I miejsce przyznano: Angelice Sokólskiej z Wrocławia za monodram „Ja, Maria”, II – Michałowi Studzińskiemu ze Słupska za monodram „Iwan Karamazow zwraca bilet”, a III – Marcie Pohrebny z Teatru Piiip z Zielonej Góry. Przyznano też cztery równorzędne wyróżnienia. Nagrodę publiczności otrzymał Teatr MDK z Rumii.



Cicha, skromna, małomówna... 18 października, WiMBP

Tak przekornie przedstawiła się **Anna Seniuk**, która spotkała się z czytelnikami. Ta znakomita aktorka teatralna i filmowa przyjechała do Gorzowa z książką zatytułowaną „Nietyпова baba jestem”. Pomysł napisania książki zrodził się, gdy porządkując rodzinne pamiątki, natknęła się na ogromną ilość dokumentów i zdjęć swoich przodków. Wtedy to, z myślą o swoich dzieciach i wnukach, by mogli dowiedzieć się, skąd pochodzą i jakie są ich korzenie, aktorka postanowiła spisać historię swojego życia. Pomogła jej w tym córka – **Magdalena Małecka-Wippich**, która nadała książce kształt rozmowy-rzeczki.

Gorzowska Herbertiada 19 października, WiMBP

Istnieją dwie podstawowe wartości – piękno i dobro. Mają one u źródła jedno słowo, którego nie znamy. Pracując usilnie w pięknie, wywołujemy dobro. To słowa **Zbigniewa Herberta** i motto **Gorzowskiej Herbertiady**.

Rok 2018 jest rokiem Zbigniewa Herberta, ponieważ w lipcu minęło 20 lat od jego śmierci. Jako pierwszy odbył się wykład **Rafała Żebrowskiego** pt. „Spotkanie z późnym siostrzeńcem Pana Cogito”. Jest on siostrzeńcem poety i autorem książki „**Zbigniew Herbert. Kamień, na którym mnie urodzono**”. Książka opowiada o genealogii rodziny Herbertów, o dziadkach i rodzicach Zbigniewa Herberta, o jego dorastaniu, przyjaźniach i przygodach szkolnych. Także o rodzinnych wspomnieniach z kochanego miasta Lwowa, w którym Herbert się urodził i spędził kilka lat swojego młodego życia. I choć było to dla Zbigniewa Herberta ważne miasto, to w wieku dorosłym nigdy do Lwowa nie pojechał. Książka

zawiera wspomnienia kończące się około 1945 roku.

Rafał Żebrowski mówił także o tym, że w jego rodzinie literatura była obecna od zawsze. On sam też pisał wiersze, które jednak zniszczył. Czasem pisuje felietony. Pracuje jako adiunkt w Pracowni Varsavianistycznej Żydowskiego Instytutu Historycznego im. E. Ringelbluma w Warszawie. Zaapelował do słuchaczy, aby nie przegapili swojego życia. Każde życie zasługuje, aby je ciekawie opowiedzieć.



Konferencja „Zbigniew Herbert – poeta nieoczywisty” 26 października, WiMBP

Przed południem odbyły się warsztaty dla młodzieży, a po południu trzy wykłady.

Dr Gabriela Balcerzak w wykładzie pt. „Taktika poetycka” skupiła się na problemie, kto to jest poeta. I odpowiedziała, że na pewno to ktoś, kto coś ważnego po sobie pozostawił, do czego my często się odwołujemy. Pisanie wierszy to docieranie do istoty rzeczy, to próba opisania zasadniczych momentów z życia i otoczenia. Ale bycie poetą to nieustanne igranie z ogniem. Zaznaczyła, że jest różnica między wierszem a poezją. Zbigniew Herbert swoją poezją nakreślił pewną parabolę. Jego taktiką było szukanie powiązania klasyki ze współczesnością. I czynił to z dużą dozą elegancji.



Dr hab. Andrzej Franaszek w wykładzie „Zbigniew Herbert – historia niepokoju” prześledził życie poety. W tej wędrówce odkrywał wiersze pisane w różnych okresach jego życia. Doszedł do wniosku, że Herbert w wierszach konstruował swoją biografię. Ogromne znaczenie w pisaniu poezji miało miejsce, gdzie aktualnie piszący przebywa. Herbert lubił podróżować i w jego wierszach widać ogromny podziw dla świata. Nawet to, czy jest się zdrowym czy chorym. Np. w niewielkim tomiku



pt. „Elegia na odejście” znajdują się wiersze, które poeta pisał, gdy był bardzo chory. I stan ten można odczytać z tych wierszy. Został po sobie bardzo dużą ilość różnego rodzaju zapisków, karteluszek, teczek, segregatorów i przedmiotów.

Prof. Stanisław Nicieja miał wykład „Lwów jako miasto młodości Zbigniewa Herberta”. Ze Lwowa wywodzi się całe mnóstwo wspaniałych i ważnych ludzi, np. Zapolska, Konopnicka, Grottger. Lwów był także miastem dzieciństwa i młodości Zbigniewa Herberta, choć jako dorosły człowiek już go nie odwiedził. Obecnie Lwów to miasto żyjące swoim odrębnym życiem, innym niż cała Ukraina.

Spotkanie zakończył film o cmentarzu na Łyczakowie, gdzie spoczywają prochy członków rodziny Herberta. Dzień wcześniej odbyło się spotkanie autorskie prof. S. Nicieja promujące XI tom cyklu opowieści o historii i mitologii miast kresowych pt. „Kresowa Atlantyda”.



Herbertiadę zakończył programem słowno-muzyczny pt. „Czytam Herberta” w wykonaniu aktorki **Ewy Dałkowskiej** i muzyka **Dominika Rostonia**. Aktorka czytała wiersze oraz notatki i anonsy gazetowe o poecie, wspominała swoje kontakty z nim i jego twórczością.



Władysław Hasior – wyobrażenia poetycka

26 października,
Miejski Ośrodek Sztuki

Odbył się wernisaż wystawy pokazującej prace Władysława Hasiora z kolekcji zakopiańskiej, warszawskiej i gorzowskiej. Niezrozumiałym jest, dlaczego podczas jej otwarcia ani słowem nie wspomniano o twórcy GALERII, obecnym zresztą na tym wernisażu. A stworzył ją Jerzy Gąsiorek, będąc przez 25 lat dyrektorem Biura Wystaw Artystycznych i pasjonatem

Hasiora. Zakupił 35 jego dzieł, w tym cztery sztandary. To dzięki niemu powstał u nas drugi po Zakopanem zbiór prac jednego z najbardziej niezwykłych artystów. Władysław Hasior był dwukrotnie w Gorzowie na otwarciu swoich wystaw, które zorganizował mu Jurek Gąsiorek.

Nadanie imienia Zdzisława MORAWSKIEGO sali nr 8 na parterze WiMBP im. Z. Herberta 29 października, WiMBP

Na uroczystości obecny był spadkobierca spuścizny Zdzisława Morawskiego, wnuk poety **Maciej Morawski**. Cały dorobek literacki pisarza i różne inne dokumenty zostały przekazane w depozyt gorzowskiej Książnicy. Składa się nań około pięćdziesiąt opowiadań, dwadzieścia utworów dramatycznych, powieści, artykuły prasowe, recenzje, programy teatralne, wycinki oraz dużo luźnych wierszy. Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna będzie wspólnie z Maciejem Morawskim dysponować prawami autorskimi do tych utworów. Do umowy został dołączony załącznik (18 stron) wyszczególniający wszystko to, co znajduje się w depozycie. Teraz pracownicy wszystko segreguje i kataloguje **Małgorzata Barczyńska-Kowańdy**, a od strony krytycznej spuścizną zajmują się **Krystyna Kamińska** i **Ireneusz K. Szmidt**. Wiersze i fragmenty różnych książek będą wykorzystane w kolejnych edycjach „Pegaza Lubuskiego”. Uroczystości podpisania umowy towarzyszyła prezentacja części maszynopisów i rękopisów Zdzisława Morawskiego.



„Szlakiem Mazurka Dąbrowskiego” 8 listopada, WiMBP

Spotkanie ze znaną gorzowską podróżniczką **Marią Gontą**, która przedstawiła opowieść o historii naszego hymnu narodowego oraz o Polakach z nim związanych – **Józefie Wybickim**, **Janie Henryku Dąbrowskim** i **Stefanie Czarnieckim**. Spotkanie przebiegło w miłej, patriotycznej atmosferze, wpisując się w harmonogram uroczystości związanych ze 100-leciem odzyskania niepodległości przez Polskę.

Promocja książki s.f. „Tchnienie”. Debiut powieściowy Anny Kowalczewskiej 13 listopada, Klub Kultury „Jedynka”

Książka **Anny Kowalczewskiej** „Tchnienie” nosi podtytuł „Księgi wybranych”. W zamierzeniu autorki jest ona pierwszym tomem trylogii. Kolejne dwa tomy są już na etapie korekt i opracowania redakcyjnego. Na spotkaniu z cyklu „FarmaLiter” z udziałem kilku znawców przedmiotu (s.f.) i dyletantów-czytelników, ale zainteresowanych tym, co ich czeka w przyszłości, autorka dwoiła się i troiła, by uzasadnić rozpisaną na 456 stron swoją wizję świata. Z powodu tej objętości trudno się nie pogubić w perypetiach bohaterów, którzy sami często bywają zagubieni w wirtualnych przestrzeniach, w jakie wpuszcza ich autorka. Wydawnictwo NOVAE RES z Gdyni uwierzyło, że ma do czynienia z utalentowaną pisarką i przy pomocy funduszu stypendialnego ze środków finansowych budżetu miasta Gorzowa wydało ten pierwszy tom



KSIEGI WYBRANYCH. Myślę, że nie tylko dla wybranych czytelników. Bo właśnie oni byli jej pierwszymi recenzentami: *Gdy życie ludzkości zależy od Czterech Żywiołów, może wydarzyć się wszystko. „Tchnienie” to polska fantastyka w najlepszym wydaniu. Smakowity kęs dla wymagającego czytelnika (Karolina Lotta Krakowiak).*

Gdy przeznaczenie się o ciebie upomina, twoje życie już nigdy nie będzie takie samo. Fantastyczna powieść, od której nie można się oderwać (Agnieszka Zabawa).

Konferencja naukowa pt. „Polonia Mater Nostra Est” 14 listopada, WiMBP

Konferencja poświęcona setnej rocznicy odzyskania przez Polskę niepodległości. Referaty wygłosili:

prof. Paweł Leszczyński „Jubileusz 100-lecia polskiej niepodległości na tle nowej mapy politycznej Europy Środkowej po I wojnie światowej”;

prof. Beata Orłowska „Między kształceniem a wychowaniem. Sto lat polskiej myśli edukacyjnej”;

Edward Jaworski „Walka o granice państwa polskiego 1918-1925”;

Agnieszka Dębska „Miejsca pamięci narodowej jako forma upamiętnienia walk o niepodległość Ziemi Międzychodzkiej”;

dr Katarzyna Śanocka-Tureczek i **prof. Marcei Tureczek** „Wielka wojna, niepodległość i pamięć na obszarze Babimojszczyzny i Ziemi Międzyrzeckiej 1918-2018”.

Z recitalem fortepianowym wystąpił **Piotr Szychowski**, jeden z najwybitniejszych pianistów młodego pokolenia. Grał utwory Chopina.



VI Międzynarodowy Festiwal Książki Ilustrowanej w Brandenburgii Mroczne i Zabawne 16 listopada, WiMBP

Gościem specjalnym była niemiecka ilustratorka **Marie Geisler**, a uczestnikami dzieci ze Szkoły Podstawowej w Deszcznie. Najpierw dzieci wysłuchały fragmentów książki o przygodach dwóch niesfornych chłopców, do której ilustracje stworzyła



Marie Geissler. Perypetie bohaterów opowiadania stały się inspiracją do praktycznej części warsztatów, na których dzieci pod kierunkiem ilustratorki rysowały, kim chciałyby zostać w przyszłości.

Porozumienie o współpracy z Biblioteką Narodową

Biblioteka Narodowa oraz Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna im. Zbigniewa Herberta w Gorzowie Wielkopolskim podpisały porozumienie o współpracy. Dotyczy ona przede wszystkim: zapewnienia spójności zasobów bibliograficznych, współkatalogowania zbiorów regionalnych, wzajemnego wspierania działań w celu zapewnienia kompletności zgromadzonych zbiorów, szczególnie regionalnych, współpracy w zakresie profilaktyki ochrony i konserwacji materiałów bibliotecznych.

W ramach porozumienia biblioteki będą podejmować wspólne inicjatywy i działania, uzgadniać stanowiska, a także ułatwiać i wspierać współpracę specjalistyczną bibliotek.

Ze zbiorów rodziny Pauckschów

21 listopada, WiMBP

Odbył się wernisaz wystawy pt. „Malarstwo, rysunek i grafika ze zbiorów rodziny Pauckschów. Region ukrytych talentów – Gorzów Wielkopolski/Landsberg an der Warthe”. Autorkami prac są: matka – Maria (Mieze) Luisa Amalia Paucksch, z domu Simon, i jej córka – Anna Maria (Annemarie) Louise Nelle, z domu Paucksch. Obie kobiety łączyła wielka pasja i talent. U Mieze jest dużo grafiki, Annemarie celowała w malarstwo. Obie przedstawiały otaczającą je rzeczywistość, wycinki z życia: rośliny, zwierzęta, ludzi, sporadycznie pejzaż. Wystawa wiąże się z dziejami rodziny, która odegrała dużą rolę w życiu gospodarczym i codziennym przedwojennego Gorzowa. Prace plastyczne oraz liczne fotografie rodzinne udostępnił gorzowskiej Książnicy Wolfhart Paucksch, prawnuk Hermanna Pauckscha, fundatora fontanny na Starym Rynku.



Laureaci konkursu Dyskusyjnych Klubów Książki

28 listopada, WiMBP

Ogłoszono wyniki i wręczono nagrody w VI edycji konkursu „Moje literackie fascynacje”.

Kategoria I (do 14 roku życia):

I – **Dorian Skrzypnik** za recenzję książki „Pachnidło” Patricia Suskinda,

II – **Eryk Kowalczyk** za recenzję książki „Igrzyska śmierci” Suzanne Collins,

III – **Maja Hałas** za recenzję książki „Malutka czarownica” Otfrieda Preusslera. Wszyscy laureaci pochodzą z Witnicy.

Kategoria II (15-19 lat):

I – **Weronika Górecka** (DKK Kostrzyn nad Odrą) za recenzję książki „Ziarno prawdy” Zygmunta Miłoszewskiego,

II – **Filip Siuda** (DKK Międzyrzecz) za recenzję książki „Malowany człowiek. Księga I” Pitera V. Bretta,

III – **Julia Dajworska** (DKK Międzyrzecz) za recenzję książki „Wyspa obłąkanych” Martina Widmarka.

Kategoria III (od 20 roku życia):

I – **Tomasz Plewa** z Gorzowa za recenzję książki „Kochanek Wielkiej Niedźwiedzicy” Sergiusza Piaseckiego,

II – **Magdalena Markowska** (DKK Kłodawa) za recenzję książki „Nowe przygody Mikołajka” R. Goscinnego i J.J. Sempégo,

III – **Andrzej Włodarczak** (DKK UTW) za recenzję książki „Shantaram” Gregory’ego D. Robertsa.

Nagrody wręczała pisarka dla młodzieży **Barbara Kosmowska**, która wygłosiła wykład pt. „Wszyscy piszą – nikt nie czyta, wszyscy mówią – nikt nie słucha”.

Nagrodami były bony do zrealizowania w empiku. Wszyscy uczestnicy konkursu dostali dyplomy i pamiątkowe upominki.

Polsko-ukraiński spacer w Bibliotece Herberta

1 grudnia, WiMBP

Podczas pierwszego polsko-ukraińskiego spaceru po gorzowskiej książnicy jego uczestnicy odwiedzili wszystkie działy biblioteki, a bibliotekarze opowiedzieli, co oferują one czytelnikom. Byli również w zabytkowej części, w willi Hansa Lehmana, gdzie odwiedzili Galerię Karykatury i Galerię Sztuki Regionalnej. Ta część biblioteki cieszyła się ogromnym zainteresowaniem zwiedzających. Potem goście odpoczęli przy kawie i herbacie w Ośrodku Integracji i Aktywności, gdzie odbyło się czytanie bajek oraz zajęcia plastyczne dla dzieci. Efektem warsztatów były bajkowe zakładki do książek. Wielu uczestników spotkania od razu zapisało się do biblioteki.

Spotkanie z Ferdynandem Głodzikiem

5 grudnia, WiMBP

W ramach Biblioteki Aktywnego Seniora w WiMBP gościł gorzowski poeta i satyryk – **Ferdynand Głodzik**. Spotkanie było skupione wokół jego książki pt. „Księga imion”. Każdy z uczestników spotkania usłyszał wiersz na temat swojego imienia, przekrojowo i z humorem opisujący charakter danej osoby. Pan Ferdynand potrafił zainteresować seniorów tematyką swoich wierszy w miłej, sympatycznej atmosferze. Autor posiada własną stronę internetową, gdzie prezentuje swoją twórczość.

Spotkanie z Dariuszem Muszerem

7 grudnia, Klub Kultury „Jedynka”

Dariusz Muszer (znawca kultury norweskiej, pisarz, tłumacz) spotkał się z dziećmi w Filii nr 3 oraz w Klubie „Jedynka” i zaprezentował im norweskie baśnie we własnym tłumaczeniu. Autor, urodzony w Górzycy, związany był przez wiele lat ze środowiskiem literatów lubuskich. Obecnie mieszka w Niemczech i tam jest bardzo popularnym autorem. Fundacja Literatury im. Henryka Berezzy postanowiła wydać zawierający 90 utworów zbiór baśni w jego tłumaczeniu. Jest to pierwsza, po prawie 150 latach od ustalenia kanonu baśni norweskich, tak obszerna publikacja w języku polskim, przeznaczona zarówno dla młodego odbiorcy, jak i dla dorosłych. Sam autor czytał te baśnie w rewelacyjny sposób, co spotkało się z entuzjastycznym przyjęciem przez dzieci.

Kronikę na podstawie własnego udziału w omawianych imprezach, ich organizatorów i moderatorów oraz materiałów udostępnionych przez WiMBP i GIIK opracowała
Ewa Rutkowska

NAGRODA LITERACKA im. Andrzeja K. Waśkiewicza

W piątkowe popołudnie (30 XI), w szacownym gmachu Muzeum Ziemi Lubuskiej, wręczono po raz dziewiąty Nagrodę Literacką im. Andrzeja K. Waśkiewicza – przyznawaną przez Oddział Związku Literatów Polskich w Zielonej Górze.

Oddział ZLP już 57 lat trwa „na posterunku” i tworzy – w sposób zapewne niezauważalny dla większości mieszkańców regionu i Zielonej Góry – historię miasta i województwa. Pisarze, poeci, krytycy piszą i wydają książki, które tutaj zostaną na zawsze, bo składają się na lokalną rzeczywistość, a zarazem ją opisują. Mimo niewielkiego dziś szacunku dla słowa pisanego, gdzieś w bibliotekach, archiwach te prace na pewno przetrwają.

Andrzej K. Waśkiewicz, patron nagrody, był związanym ongiś z Zieloną Górą poetą, krytykiem, edytorem, animatorem życia literackiego. Teraz udział w uroczystości wzięła (i bierze co roku) jego żona Anna Sobecka, zresztą kiedyś zielonogórska dziennikarka radiowa i tłumaczka.

Przewodnicząca Kapituły Nagrody A.K. Waśkiewicza, **dr Mirosława Szott**, odczytała protokół. Nominacje do Nagrody otrzymali: **Władysław Klepka (poeta)**, **Małgorzata Mikołajczak (profesor UZ, literaturoznawczyni)** i **Agnieszka Ginko-Humpries (poetka, pisarka)**. Ostatecznie Kapituła zdecydowała, że tegorocznym laureatem został – **Władysław Klepka**. Artysta otrzymał szklaną statuetkę z zatopionym autografem A.K. Waśkiewicza i stosowny dyplom, ponadto Nagroda miała również wymiar finansowy, co dla każdego „chudego poety” jest istotne. Fundatorem był prezydent Zielonej Góry.

Kapituła pracowała w składzie: **Mirosława Szott – przewodnicząca**, **Alfred Siatecki – sekretarz**, **Jolanta Pytel**, **Paulina Korzeniewska**, **Katarzyna Jarosz-Rabiej**.

Ponadto została przyznana **Specjalna Nagroda Literacka prof. Małgorzacie Mikołajczak** za długoletnie wspieranie lubuskich literatów, za promowanie na Uniwersytecie kolejnych magistrów i doktorów podejmujących sprawy twórców i ich pisarstwa w regionie, za książki, prace i eseje o poczynaniach środowiska. Nagroda ta przyjęła wymiar konkretny w postaci obrazu wybitnego polskiego artysty plastyka **prof. Andrzeja Strumiłły**.

Nagrody wręczali: **Anna Sobecka**, która przybyła z Gdańska, w towarzystwie prezesa Oddziału ZLP **Eugeniusza Kurzawy**.

DEBATA LITERACKA „CZEGO NAM BRAKUJE, BY TWORZYĆ ARCYDZIEŁA?”

W środę, 5 grudnia 2018 r., w Bibliotece Głównej Uniwersytetu Zielonogórskiego odbyła się debata literacka pod hasłem „Czego nam brakuje, by tworzyć arcydzieła?”. Pomysłodawcą debaty był **Eugeniusz Kurzawa**, prezes Oddziału ZLP, współorganizatorką **dr Mirosława Szott** z BUZ. Zaprosili do udziału lubuskich poetów, pisarzy i naukowców, którzy – w obecności publiczności – w dwóch turach (każdy po 5 minut) ustosunkowali się do tezy, którą wygłosił E. Kurzawa.

Żaden z lubuskich pisarzy nie przebił się i nie „usadowił się” w obiegu ogólnopolskim. Nie chodzi oczywiście o zdobyte tu i ówdzie nagrody w ogólnopolskich konkursach literackich, nawet o książki wydane w prestiżowych wydawnictwach o znaczeniu krajowym, o entuzjastyczne nawet recenzje, udział w zjazdach, seminariach, warsztatach literackich. Idzie o to, że w zasadzie nikt poza dwiema – moim zdaniem – postaciami, o których niżej – nikt ze środowiska pisarskiego Ziemi Lubuskiej w okresie powojennym nie wszedł na trwałe do obiegu ogólnopolskiego, nie usadowił się tam, nie wypłynął i nie wpływa na kształt literatury polskiej! Nie wprowadził do literatury polskiej dzieł i wartości, wobec których każdy, niemal każdy, powinien się wypowiedzieć, ustosunkować do nich. A tylko wtedy możemy mówić, iż pisarz, autor jest kimś znaczącym.

Prowadzący debatę podkreślił, iż wciąż nie mamy kogoś na miarę białostockiej gwiazdy **Edwarda Redlińskiego** czy **Urszuli Kozioł** z Wrocławia lub **Rafała Wojaczka** albo **Erwina Kruka** z Warmii i Mazur, albo nawet z tychże Mazur **Zbigniewa Nienackiego**, słynnego „Pana Samochodzika” (tu brał pod uwagę bardziej sławę niż wartości literackie jego dzieł).

Wiadomo, że u nas świat zaczął się w 1945 r. Dlaczego jednak tygiel po tymże 1945 r. ani odwilż październikowa po 1956 r. nie przyniosły tutaj takich dokonań, takiego fermentu, który zaowocował niepowtarzalnym „Awansem”, „Konopielką”, przejmującymi wierszami mazurskimi **Kruka**, sztukami teatrów studenckich do tekstów **U. Kozioł** i innymi dziełami pogranicza i lat fermentu?

Choć dyskusja była ożywiona, żadna z wypowiedzi nie była bezpośrednim ustosunkowaniem się do „zarzutów” **Kurzawy**. Nikt nie powiedział „odważnie”, że po prostu miejscowym twórcom zabrakło talentu. Oczywiście wymieniano ciekawe publikacje i dokonania takich pisarzy jak **Trziszka**, **Dowgielewiczowa**, **Morawski**, **Fedorowicz**, ale zgodnie wszyscy przyznali, iż arcydzieła na Ziemi Lubuskiej nie powstały. **E. Kurzawa** natomiast wskazał, że jego zdaniem dwie tylko postacie z regionu weszły czy wejdą na stałe do kanonu literatury polskiej: poetka **gorzowska Papsza** i **Andrzej K. Waśkiewicz**, poeta, literaturoznawca, edytor, krytyk.

Debatowali: **prof. Małgorzata Mikołajczak**, **poeta Czesław Sobkowiak**, **dr Kamila Gieba**, **dr Paulina Korzeniewska**, **dr Arkadiusz Kalin (Gorzów)**, **dr Andriej Kotin**, **prozaik Alfred Siatecki**. Nie mogły wziąć udziału w spotkaniu **Ewa Mielczarek** i **Beata Patrycja Klary** z Gorzowa.

Zapis rozmów i wypowiedzi ukaże się w całości w periodyku **UZ „Filologia Polska”**, streszczenie zaś w piśmie „Pro Libris”. Kto wie, czy to nie jest początek jakiejś generalnej dyskusji o lubuskim środowisku literackim, o jego kondycji pisarskiej.

wg HG





Stefana Pastuszewskiego – sekretarza redakcji miesięcznika literackiego „Akant” ukazującego się w Bydgoszczy – list do redakcji „Pegaza Lubuskiego”:

Szanowni Państwo!

Zabraliście mi „Pegazem Lubuskim” kilka godzin wczesnoporannych, które zwykle przeznaczacie na pracę twórczą. Czytałem Wasze Czasopismo kosztem moich obowiązków i chłonałem ten przedziwny klimat kultury i twórczości Ziemi Lubuskiej. To niezwykle splątanie się obcej kultury, która pozostawiła stafaż materialny, z nowym duchem, który przyszedł z Polski. Wciąż to mnie fascynuje i wciąż nie mogę tego pojąć. Czy w Gorzowie Wielkopolskim naprawdę jest taka zgoda w środowiskach twórczych, jaka jawi się na łamach Czasopisma? Aż zazdrościcie!

Ze smutkiem przyjąłem wiadomość o śmierci Marii Morawskiej, którą poznałem podczas kilku pobytów u Was. Ona miała w sobie ujmujący czar i godność.

Przesyłam do biblioteki książkę, którą wydali mi przyjaciele i ze smutkiem oznajmiam, że nie mogę już przesyłać „Akantu”, gdyż poczta zablokowała bezpłatne przesyłki, a na płatne już nas nie stać.

Serdecznie pozdrawiam

Stefan Pastuszewski

Drogi Stefanie, dziękuję za przemyśły list i przysłane książki. Gratuluję. O przesyłkę „Akantu” nie martw się, Biblioteka na pewno zakupi. Irek

List od redaktora naczelnego gdańskiego czasopisma literackiego „MIGOTANIA” Zbigniewa Joachimiaka do redaktora naczelnego „Pegaza Lubuskiego”:

Irku, dzień dobry!

Wcale nie taki skromny, bardzo ciekawy, treściwy ten Twój Pegaz. Mnóstwo dobrych tekstów, np. Sobkowiaka dzienniki, których zresztą fragmenty też będą drukować u siebie. Wiele ciekawych wierszy. Poczytałem z wielką przyjemnością.

Ponawiam moją propozycję przedstawienia gorzowskiego środowiska literackiego, mogę dać Ci cztery strony. Co ty na to? Czasu jest sporo. (...)

*Ściskam serdecznie,
Zbyszek*

NADZIEJA KWITNIE DŁUŻEJ

To wyjątkowa publikacja w skali kraju. Bohaterkami książki „Nadzieja kwitnie dłużej...” są lubuskie Amazonki, a jej promocja odbyła się 16 października w Domu Harcerza w Zielonej Górze. Wieczór przepełniony emocjami. Nie zabrakło uśmiechów i momentów wzruszenia.

Pomysłodawczynią książki jest Aleksandra Sołtysiak. Zachęciła również do współpracy w wydaniu publikacji dra Roberta Rudziaka. Do grupy inicjatywnej dołączyli też: fotograf Marek Lalko, szefowe kół Amazonek, dyrekcja lubuskiego Oddziału NFZ.



„Nadzieja kwitnie dłużej...” to 12 wspomnień, wiersze, które skłaniają do głębszej refleksji. Amazonki to superbohaterki. Kobiety z ogromną mocą i energią życiową. Spotkały się z chorobą, ale nie poddały. Teraz pomagają innym kobietom przejść przez początkowy, trudny okres po operacji, kiedy pojawia się wiele pytań, wątpliwości i rozterek, a także poczucie bezradności i bezsilności. Pomagają sobie wzajemnie i wspierają w przekształcaniu swojej słabości w siłę, która pozwala walczyć o odzyskanie zdrowia, fizycznej sprawności oraz równowagi psychicznej. Amazonki dają sobie i innym nadzieję. Jest nią też książka, której by nie było, gdyby nie pomoc wojewody lubuskiego, urzędów miast w Zielonej Górze, Żarach, Międzyrzeczu, a także Uniwersytetu Zielonogórskiego, Zakonu Maltańskiego – Służba Medyczna i Federacji Stowarzyszeń Amazonek w Poznaniu. Wydawcą książki „Nadzieja kwitnie dłużej...” jest zielonogórski Oddział Związku Literatów Polskich. W gronie sponsorów medialnych tej książki znalazło się także logo „Pegaza Lubuskiego”.



CZASOPISMO LITERACKIE

pod auspicjami WiMBP i ZO ZLP w Gorzowie Wlkp.

Red. nac.: Ireneusz Krzysztof Szmidt – tel. kom. 501 520 227.
Sekretarz red.: Danuta Zielińska – tel. 95 727 70 70. Współpraca: Jerzy Alski, Anna Dominiak, Krystyna Kamińska, Beata P. Klary, Ewa Rutkowska. Grafika: Zbigniew Olchowik. Zdjęcia: Bogdan Bloch, Jacek Buczyński, Kazimierz Ligocki, Marzena Mackała, Piotr Merda, Leszek Rafalski Barbara Schroeder, I.K. Szmidt, Krystyna Woźniak oraz archiwa wydawcy i autorów. Wydawcy: ZO ZLP – WiMBP im. Zbigniewa Herberta, ul. gen. Wł. Sikorskiego 107, 66-400 Gorzów Wlkp., e-mail: informacja@wimbp.gorzow.pl. E-mail red. nac.: i.k.szmidt@wp.pl; www.zlp-gorzow.cba.pl. Skład komputerowy: Daniel Besta i I.K. Szmidt.

Chinkali

W przestronnej jasnej wygodnej sali,
płynąc jak ptaki po całym świecie,
konsumujemy razem chinkali
w Gruzji na randce, czyli w duecie.

Zerkam w twój dekolt dyskretnie, czule,
przy tych pierogach znikają smutki,
trudno krągłościom takim nie ulec;
przypominają kobiece sutki.

Niech mrok zapadnie, niech świat się wali,
kiedy cieszymy się chwilą wspólną,
gdy ty wargami sięgasz chinkali
i z wnętrza ciepły wyszczasz bulion.

Tę chwilę będę wspominał, chwalił,
było mi dobrze, byłem szczęśliwy,
sprawił to pieróg zwany chinkali,
który w ogóle nie był leniwy.

Samosy

Hindus bramin, co imię miał Patri,
gdy odśpiewał o świcie Gayatri,
aby słońce dodało mu skrzydeł,
ujrzał obok swą żonę Daidę.

Jemu imię to znane i miłe;
– przyrządziłam ci mężu posiłek.
Wyczesałam i spięłam już włosy,
a na ciebie czekają samosy.

Jako każą przepisy najstarsze,
napełniłam warzywnym je farszem.
Bądź dla żony łagodny, łaskawy,
dałam do nich indyjskie przyprawy.

W myśl nakazów pradawnej epoki
usmażyłam je w tłuszczu głębokim.
Tłuszcz ten zawsze klarownym jest masłem,
aby były pożywne i smaczne.

Niech czuwają nad tobą bogowie,
niechaj Brahma obdarza cię zdrowiem,
zanim mantrę zanucisz do Sziwy,
bądź pogodny, bądź syty, szczęśliwy.

Patri w ciszy spożywał samosy,
zjadł ich sporo, lecz w końcu miał dosyć,
czego nie zjadł, choć dzień był powszedni,
pozostawił dla żony i biednych.

Gorzów Wlkp. 14.11.2018 r.



PIEROGARNIA



BYŁEM

Według Cypriana Kamila Norwida

Byłem u ciebie w pierwszych latach wieku,
gdy nuta fletu magią rozśpiewana
brzmiała orkiestrą jakby fletnia pana,
kiedy szukałem artysty w człowieku
poprzez dni krótkie,
owiane smutkiem,
wierne marzeniom, losom na przekór.

Byłem u ciebie przez dni wielkiej smuty,
karnie wpatrzony w ruch zręcznej batuty,
gdy przez słów pęki,
obrazy, dźwięki,
kształt się wyłaniał,
przez wierszowania,
barwy i nuty.

Byłem u ciebie czasem zmitrężonym
poprzez podróże, lokalne burze,
przez chwile wzniośle,
przez fałszywe tony.

Trwałem przy tobie w czas cierpliwie długi,
gdy przerabiałeś partnerów na sługi,
gdy zdarzeń siłą,
nic już nie było
takie jak było.

Trwałem przy tobie zmrokiem i świtem
przez czas mozołu;
wreszcie z cokołu
potężną siłą, co zwala z nóg,
twój autorytet
runął na bruk!



Jacek z pierogami

(można śpiewać na melodię
„Kwiatki z polskiej rabatki”)

I
Na przednówku ubodzy włościanie
głód cierpieli nim wiosna nastanie,
bowiem żyje się marnie,
gdy już puste spizarnie,
głodnych dzieci wciąż słyszy się łkanie.

Nie pomogli włościanom bogacze,
lecz krakowski duchowny – ksiądz Jacek.
Wspierał w biedzie ubogich
i rozdawał pierogi,
ludzi tkniętych niedolą przyjaciół.

Ref. 2
Czasem postnie, a czasem na tłusto,
z kaszą, serem, grzybami, kapustą,
lub na słodko, na ostro;
latem, zimą, jesienią i wiosną.

II
Wieść się szybko rozniosła po gminie,
wiedzą o tym i dziś gospodynie,
a gospodyń tych córki
z matek swych biorą wzór i
wprowadzają go w swojej rodzinie.

Nie wnikając w niuanse ekspertyz,
chłop mocarny, robotny i zerty,
choć zmęczony jak licho,
zadowoli się michą,
choćby drewna przewalił dziś sterty.

Ref. 3
Czasem postnie, a czasem na tłusto...

III
Przemijały epoki i trendy,
obrasały pierogi w legendy,
pośród ras i języków
dzisiaj jest ich bez liku,
łatwo można napotkać je wszędy.

Choć są pizze, kebaby, fast foody,
pierogami wciąż raczą się ludy
od upalnych stref skwarnych
aż do kręgów polarnych
nawet ci, co nie znali ich wprzód.

Ref. 4
Dziś turysta podziwia i chwali
manty, knedle, pielmieni, chinkali,
cebureki, kołduny;
bo smakoszy pierogów są tłumy.

